No. 12. 30 h. = 25 fen.



# SZERLOK HOLMES

## TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 21. sierpnia 1909.

Z treści: **Yoril Fieldertown, bandyta uliczny.**

Wychodzi w każdą sobotę.





Człowiek w masce stał naprzeciw bandyty.

Przedruk wzbroniony.
Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

# Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.
Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.
Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.
Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 12. Kraków, dnia 21 sierpnia 1909. Nr. 12.



## ZE ŚWIATA.

### Zakochany chińczyk — mordercą.

Życie zakulisowe t. zw. „varieté“ tinglów i innych zakładów służących ku rozrywce tłumów żądnych widoku wzbudzających w najwyższym stopniu senzacyę — życie wędrownych artystów jest okryte jakby mgłą tajemniczości przed okiem szerokich mas.

Istotnie, dzieją się za kulisami rzeczy, o których się nie śniło niejednemu z nas, żyjących uregulowanem życiem przeciętnego śmiertelnika.

W Berlinie, owym wschodnim Paryżu zepsucia i wszelkich wyuzdań, w Berlinie, gdzie pojęcie cnoty, moralności i ogólno-ludzkiej etyki jest, jak zresztą w każdej wielkomiejskiej stolicy, bardzo giętkie — zdarzył się fakt, który zainteresował szerokie koła publiczności, nie mającej zresztą nic wspólnego z mętnymi stosunkami zakulis tinglowych.

„Artysta“ tinglu produkujący się w sztuce rzucania nożami zakochał się na zabój w pewnej „artystce“, która znowu pikantnymi swymi kupletami entuzyazmowała knajpianą publiczność.

Młodej parze przeszkodził jednak w szczęściu — japończyk.

Piękna Mania znudzona widocznie zaletami syna „Państwa wschodzącego słońca“, upodobała sobie nowego adonisa, poddanego Mikada.

Pewnego poranku, gdy Mania wypoczywała jeszcze po trudach wczorajszego przedstawienia, wpadł do jej mieszkania zakochany chińczyk i jedym strzałem znanego ze swej niechybnej celności browninga — położył trupem śpiewaczkę.

Mania która używała pseudonimu Areiw, odpokutowała płochość swą śmiercią z ręki gwałtownego, z niczem nie liczącego się chińczyka, którego rzekomo rodowite nazwisko brzmi: Yt-Nats-Nok.

Niefortunny adonis oczekuje obecnie za kratkami sprawiedliwego wyroku za swój gwałtowny czyn.

Panna Areiw — nie żyje!

### Morderstwo dla dwóch marek.

Z chęci rabunku dopuścił się w Berlinie wstrętnego morderstwa niejaki Ernest Wulf, z zawodu dorożkarz. Wulf przyjął odwiedziny w swojem mieszkaniu dziewczynę lekkich obyczajów 21-letnią Bertę Schneider.

Wulf obdarował Bertę dwoma markami, ale potem żal mu się zrobiło tak hojnego datku, i chciał pieniądze napowrót jej odebrać.

Z powodu tego przyszło do sprzeczki zakończonej w tragiczny sposób. Przygodny kochanek ugodził ćmę nocną tępem jakiemś narzędziem w skroń i ubił na miejscu. Zwłoki chciał następnie pogrzebać w przyległym ogrodzie. Spostrzeżono go jednak przy tej robocie i spłoszono. Wreście został zbrodniarz aresztowany na dachu domu, w którym mieszkał.

Na inspekcyi policyjnej przynał się częściowo do zbrodni. Zeznania jego czynią wrażenie człowieka mało umysłowo rozwiniętego.

Wulf był zatrudniony jako woźnica w pewnej mleczarni, i mieszkał w izdebce tuż nad stajnią. Obok znajdował się ogród sąsiada.

W nocy posłyszano jakby kopanie w ziemi i odgłos ciężko upadającego ciała.

Okazało się, że był to Wulf usiłujący zakopać zwłoki dziewczyny.

Doprowadziło to do aresztowania zbrodniarza i następstw, które w niedalekiej przyszłości będą z pewnością przedmiotem — jednodniowej senzacyi Berlina.

---

## Włamywacz żąda odszkodowania!...

Zdarzyło się to w pewnem małem miasteczku w Niemczech. Jakiś złodziej chciał wkraść się przez mur z ogrodu na podwórze sąsiedniego domu. Plan ten udał się tylko po części.

Gdy bowiem nocny rycerz przemysłu znajdował się zaledwie w połowie ryzykownej swej drogi — łamie się nagle pod nim drabina, a on sam spadając na ziemię odnosi poważne potłuczenia głowy i zwichnięcie nogi.

Przy tej katastrofie został niefortuny ptaszek przez sąsiadów przytrzymany i oddany w ręce policyi.

Ale to dopiero pierwszy akt tragikomedyi. Drugie dwa są o wiele więcej interesujące.

Otóż przy sposobności złapania złodzieja i skonstatowania smutnego jego wypadku, przyszła „władza“ na to, że drabina stojąca na podwórzu nie była dostatecznie wytrzymałą, że użycie jej zagrażało bezpieczeństwu życia ludzkiego.

Wskutek tego wytoczono równocześnie i właścicielowi owej niebezpiecznej drabiny dochodzenie.

Mało tego! Bo i złodziej dowiedziawszy się o wszczętej przeciw obywatelowi akcyi karnej — zgłosił się na drodze sądowej z żądaniem odszkodowania za przecierpiany ból, koszta leczenia i wynagrodzenie za cały czas „niezdolności do pracy zawodowej“.

Ciekawa ta sprawa rozegra się niebawem przed kratkami sądowemi. A więc ostrożnie panowie gospodarze i właściciele ogrodów otoczonych wysokimi murami!...

Albo nie przystawiajcie wcale drabin, albo postarajcie się o dobre i wytrzymałe, gdyż nie wolno bezkarnie igrać z życiem i zdrowiem bliźniego, choćby tym bliźnim był złodziej!...

---

## Podeszwy butów — a charakter.

Nową teoryę oznaczania charakteru człowieka postawił uczony francuz, profesor Jean Dégrés.

Nie tylko z linii rysującej się na dłoni człowieka można — zdaniem jego — wnioskować o moralnej istocie danego osobnika. Ważną rolę ma tu odgrywać i chód jego, o którym najlepiej świadczą podeszwy jego butów, a raczej sposób, w jaki bywają przez niego zdzierane.

I tak n. p. ktoś, kto podeszwy niszczy głównie u szpiców butów, podczas, gdy reszta zostaje w dobrym stanie — z takim człowiekiem — radzi szanowny profesor — być bardzo ostrożnym. Człowiek taki rzuca się na oślep w niebezpieczne przygody i ryzykowne przedsięwzięcia i należy do tych, którzy bez wahania chwytają za broń, skoro tylko w drogę im kto wejdzie.

Gdy w okolicy wielkich palców but jest stosunkowo najwięcej zniszczony, wskazuje na to, że właściciel jego jest wzorowym, prawym i uczciwym człowiekiem, którego z drogi cnoty i obowiązku nic nie powinno sprowadzić.

Są to ludzie pracowici i nienaganni, nie rozporządzają jednak wybitnemi zdolnościami umysłowemi.

Jeżeli tylko prawa strona buta jest schodzona, świadczy to o tem, że posiadacz takiego obuwia zatrudnia swój umysł głębokiemi, poważnemi kwestyami, jak np. adwokat lub uczony.

Ludzie, którzy stawiają obcasy blisko siebie, a palce silnie na zewnątrz — nie są zdaniem profesora — godni zaufania.

Są oni odważni, zuchwali i nie znają żadnych skrupułów.

Optymista zużywa podeszwę buta zupełnie równomiernie.

Biega on sobie wesoło i bez troski po świecie i stąpa całą stopą, najpierw obcasem, a potem palcami.

I dla alkoholików ma profesor specyalne znaki charakterystyczne objawiające się w sposobie darcia butów i t. p.

Mieszkanie oryginalnego uczonego oblęgane jest przez tłumy ciekawych a żądnych dyagnozy charakteru swego, ale profesor Jean Dégrés oświadczył stanowczo, że za pieniądze nie udziela porad.

---

## Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

# JORIL FIELDERTOWN, BANDYTA ULICZNY.

ROZDZIAŁ I.

### Senzacyjne uwolnienie.

Przed jedną z rozlicznych bram Windsoru, prastarej siedziby królów angielskich, stanął wczesnym rankiem jakiś powóz.

Była to kareta z Scottland Yard, przeznaczona do transportu zbrodniarzy.

Co miał tu przed pałacem królewskim do czynienia ten szaro brązowy wóz?

Pytanie to miało być wkrótce rozwiązane, bo z sieni wyprowadzili policmenowie jakiegoś skutego człowieka, którego w tej chwili umieszczono w powozie.

Właśnie chciał urzędnik konwojujący transport wsiąść do środka wozu, gdy został zatrzymany przez jakiegoś pana, który całe zajście na ulicy obserwował.

— To pan jesteś, panie Muccles z V. dywizyi, jeśli się nie mylę, czy znasz mnie pan? — zapytał ów dżentelmen.

Policyant zasalutował i rzekł:

— Naturalnie! Któżby pana nie znał, panie Szerlok Holmes?

— Tak? To tem lepiej! — odpowiedział wielki detektyw — niech pan będzie tak dobry dawać pilne baczenie na tego draba, którego masz w powozie! To jest przeklęty, wcielony dyabeł!...

— Bardzo dobrze sir! — nie spuszczę go z oka! Mam oprócz niego jeszcze dwóch ptaszków, pojedziemy w liczniejszem towarzystwie!

— Co, masz pan jeszcze innych więźniów w wozie?! Że też wy w policyjnej centrali nie zrobicie nigdy tego, co się wam mówi! Przecież prosiłem telefonicznie o osobny wóz dla niego!...

— Tak, panie Holmes! — odparł policyant — i miałem też specyalnie po niego jechać, ale potem sygnalizowała stacya 83, a ponieważ nie było narazie do dyspozycyi innego wozu, polecił mi inspektor, bym po drodze zabrał i tych dwóch. I tak się stało, tak zrobiłem ściśle według rozkazu.

— Well! mr. Muccles! W ten sposób nie ponosisz pan żadnej winy. Stało się! rzecz nie da się już zmienić. Tamtych dwóch drabów masz z pewnością skutych?

— Zupełnie podług przepisu, mr. Holmes!

— No, to dobrze! jedź pan! Jeszcze raz radzę panu dobrze uważać!... Nie zapominaj, że to jest gwałtowny człowiek, który odważy się na wszystko i wszystkiego będzie próbował, by wydostać się z samotrzasku.

Policyant salutował jeszcze raz i zawołał woźnicy: „Jazda!“. Wskoczył do wozu, a zatrzasnąwszy ciężkie drzwi za sobą, usiadł tuż koło nich.

Poprawił jeszcze swój browning, który miał przy pasie — i zdawało mu się, że jest dostatecznie na wszelkie niespodzianki przygotowany.

Ciężki wóz potoczył się w kierunku Londynu.

Ponieważ więźniowie zachowywali się zupełnie spokojnie i biernie, dlatego i pan Muccles usadowił się trochę swobodniej i zaczął wyglądać na ulicę przez małe okratowane okienko powozu, nie

zauważywszy nawet, że trzej transportowani zamieniają ze sobą znaczące spojrzenia.

Uwagę jego zwrócił dopiero głuchy łoskot upadającego na podłogę wozu ciała i jakieś charczenie.

W tej chwili ujrzał, że powierzony mu więzień z Windsoru leży miotany szalonemi konwulsyami. W tej chwili błysła w głowie stróża porządku myśl, że ma tu do czynienia z symulacyą i schwycił silniej za rewolwer, ale niezadługo przyszedł do przekonania, że ten człowiek istotnie dostał epileptycznego napadu, bo tak silne konwulsye nie mogły być udane.

Dwaj drudzy więźniowie spoglądali w przerażeniu na wijącego się w boleściach, ale zachowywali się zupełnie spokojnie.

— Jeszcze chwilę wahał się Muccles, ale potem zwyciężył w nim miłosierny człowiek nad służbistym urzędnikiem. Schylił się nad więźniem, chcąc mu kołnierz rozpiąć.

Tę chwilę wykorzystał mniemany epileptyk, podniósł obydwie skute ręce w górę i palcami, które były wolne od oków, wpił się w szyję litościwego samarytanina.

Z powodu gwałtowności niespodziewanego napadu, stracił Muccles chwilowo zimną swą krew, ale w najbliższym momencie zaczął zawziętą obronę, a błyskawiczna myśl przemknęła mu przez głowę.

— Popadłem w pułapkę — teraz trzeba się albo uwolnić, albo postradać życie, a co gorzej, może — posadę!...

Wytężywszy wszystkie siły, już, już opanowywał napastnika, gda wtem siedzący po prawej stronie zbrodniarz wymierzył mu obcasem potężny cios w skroń, gdy właśnie policmen pasował się na ziemi z pierwszym złoczyńcą.

Z cichym jękiem padł Muccles obok swego przeciwnika, a ciche rzężenie wydobywające mu się z gardła, świadczyło, że niewiele mu się już od życia należy.

Trzej transportowani spoglądali przez chwilę w milczeniu na siebie.

— God bless your yges! — zawołał ten, który pomógł mordercy do tryumfu. Dokonaliście roboty, jakiej nie powstydziłby się urodzony „burker“ (zawodowy morderca)!

— A jak zręcznie wyciągnął ręce z kajdanek! — przyznał drugi z pochwałą. — Podobnego majstersztyku nie widziałem jeszcze. Chociaż nie chwalący się, już nieraz sam z kajdan się uwalniałem!

Tymczasem bohater przeszukał skrupulatnie kieszenie zabitego...

Właśnie znalazł to, czego szukał — mianowicie klucz od drzwi wozu, gdy pierwszy więzień zawołał:

— Posłuchaj-no sir! Mam nadzieję, że jesteście gentlemenem i nie zapomnicie, że ja mojem kopnięciem wymierzonem temu psu policyjnemu pomogłem wam do zwycięstwa! A wątpię, czy bezemnie dalibyście sobie radę z tym gałganem!

— Tak jest — sekundował mu drugi — tak jest! I niech dyabeł mnie porwie, jeżeli dżentelmen opuści wóz bez nas!

Yoril Fieldertawn wstał przy tych groźnych słowach z ziemi i rzekł spojrzawszy z pasyą na mówiącego:

— Rozumie się samo przez się, że nietylko dla siebie, ale i dla dżentelmenów pracowałem! Nie potrzeba tych parlamentarnych przemów, by mi o tem przypominać! Przeszukałem kieszenie tego bydlęcia — Fliedertown wskazał na swoją ofiarę — Ale nie znalazłem klucza od waszych kajdan!

— Sir! widać, że nie należycie do bywalców kryminału — rzekł Springhall — gdyż inaczej wiedzielibyście, że branzoletki są poprostu tylko prowizorycznie przymknięte, a dopiero w Scotland Yard bywają zamykane właściwymi kluczami! Ale to nic! Pomóżcie nam tylko wydostać się z tego przeklętego pudła, już my sobie na wolności damy radę! Nie prawdaż mój kochany Tomm?

Towarzysz jego skinął głową potakująco.

— Pod żadnym warunkiem nie możemy jeszcze teraz wysiadać. Znam te strony bardzo dobrze. Gdybyśmy teraz wyskoczyli z wozu — jesteśmy w tej chwili złapani!

Już ja wam powiem kiedy będzie czas sposobny!

I nie czekając na odpowiedź siadł opryszek tuż koło nich, wyciągnął z kieszeni etui z papierosami i zapalił „Sulivana“, poczem schował papierośnicę.

Potem, jakby przypominajęc sobie swój nietakt towarzyski wyciągnął ją z powrotem i podał towarzyszom.

— Wybaczcie dżentelmeni! Zapomniałem w mojem wytłómaczalnem wzruszeniu o obowiązku grzeczności!... Czy mogę wam służyć papierosikiem?... Ach! prawda! macie ręce skrępowane! Well! proszę! służę!...

I każdemu z nich włożył w usta po papierosie i podał im ognia.

Zdawało się, że wszyscy trzej oczekują z niecierpliwem utęsknieniem chwili wolności.

Ale zaledwie skuci złoczyńcy zaciągnęli się kilka razy cygaretami — zaszła jakaś nagła, straszna zmiana w ich fizyonomiach.

Oczy dostały jakiegoś obłędnego wyrazu, źrenice powiększyły się i nabrzmiały, jakby chciały z orbit wyskoczyć, zimny pot wystąpił na pobladłe ich twarze i wreście jak dwa martwe kloce zwalili się na podłogę wozu.

Suliwany łotra Fieldertowna nie chybiły swego skutku.

* * *

Na podwórzu londyńskiego City, Scotland-Yard, zatrzymał się pojazd. Woźnica kilkakrotnem trzaśnięciem z bicza dał znać siedzącemu w środku policmenowi, że są już u celu podróży. Mimo tego drzwi się nie otwieraly.

Tymczasem wielu urzędników zebrało się na podwórzu, by aresztantów odebrać, ale z wozu nikt nie wychodził.

Wreście wysadzono drzwi.

Straszny widok przedstawił się obecnym!

W środku wozu leżały martwe ciała Mucklesa i dwóch więźniów — Fieldertown zniknął gdzieś bez śladu.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Listy z pogróżkami i wymuszeniem.

Szerlok opuścił natychmiast zamek po odjeździe szarego wozu i wrócił do swego mieszkania przy Bakerstreet.

Ale zaledwie rozgościł się cokolwiek sam u siebie, gdy nagle odezwał się przejmujący dzwonek telefoniczny.

— Tu Centrala policyjna Scotland Yard — zawołano, i wkrótce wywiązała się rozmowa, w której urzędnik dyżurujący opowiadał Holmesowi przebieg okropnych, a dopieroco rozegranych wypadków.

Harry Taxon rozkazał tymczasem służącemu podać śniadanie, ale widział, że mistrz rzucił z pasyą słuchawkami telefonu i zaczął biegać tam i sam po pokoju.

— No ten ananas przyczyni im roboty tam w Scotland-Yard — mówił jakby sam do siebie— Byleby tylko mnie nie przyczynił, co mnie to obchodzi!? Tacy panowie nie umieją nawet w swych rękach zbrodniarza utrzymać, którego im się skutego dostawi! To nie do pojęcia! Niechże się teraz sami troszczę jak go napowrót dostać w moc swoją!...

Pomimo jednak silnego gniewu i pewnego postanowienia nie mięszania się w tą aferę — opuścił jednak pospiesznie mieszkanie wraz ze swoim famulusem i udał się na główną kwaterę policyjną.

Oględziny zwłok zamordowanego policyanta i dwóch otrutych więźniów — nie mogły w jasnym i szybko oryentującym się umyśle detektywa najmniejszej wątpliwości pozostawić — w jaki sposób potrójna ta zbrodnia została popełnioną. Szerlok Holmes domyślał się, a raczej obawiał, że kuty na wszystkie cztery nogi drab knuje jakieś straszne a tejemnicze zamiary, skoro nietylko nie skorzystał z pomocy swoich współtowarzyszy, ale w tak okrutny a podstępny sposób usunął ich ze świata.

Rozpoczął więc z nieodłącznym swoim Taxonem mozolne drobiazgowe śledzenie po Londynie za zbiegłym zbrodniarzem. Bezowocnie jednak!... Niewyraźne ślady i niejasne poszlaki gubiły się ciągle, tak, że obydwaj detektywi wrócili po dwóch dniach i nocach daremnych poszukiwań zmęczeni i wyczerpani do domu, nie mając najmniejszego pojęcia gdzie Fliedertowna szukać należy.

Podczas, gdy trwały te poszukiwania pojawiły się nowe dowody, wskazujące niemylnie na dalszą zbrodniczą działalność ściganego.

Dokonywano w mieście licznych, wyrafinowanych włamań i kradzieży do wili i pałaców arystokracyi.

Listy z pogróżkami i wymuszeniem spadły jak jaka epidemia na dzielnicę bogatych ludzi. Zapanowała panika i bezradność wobec terroru rozwiniętego przez nieznanego sprawcę czy sprawców.

Nikt nie czuł się bezpiecznym i wolał raczej złożyć wymagany, chociaż wysoki okup, niż narażać się na straszne następstwa sprzeciwienia się żądaniu opryszka. Wiele rodzin chronią swe życie, mienie i spokój wyjeżdżało pospiesznie z Londynu na wilegiaturę, aczkolwiek sezon kąpielowy nie rozpoczął się jeszcze.

Podobnie i lord James Melbourn, jeden z najbogatszych obywateli Londynu był w ostatnich czasach po trzykroć z rzędu okradziony, pomimo iż podczas zabaw i festynów, podczas których kradzieży dokonywano — znajdował się u niego w każdym niemal pokoju — detektyw.

Nakoniec otrzymał listy z pogróżkami, na które więcej nie zważał, dla ostrożności jednak oddał je wszystkie Szerlokowi Holmesowi.

Wspaniały pałac jednego z pierwszych parów Anglii był rzęsiście oświetlony, a przed szerokie portale zajeżdżały raz po raz eleganckie ekwipaże konne i motorowe, zwożąc tłumy świetnych gości — przedewszystkiem dam z najwyższych sfer towarzyskich.

Policyanci, utrzymujący porządek przed pałacem — zatrzymali właśnie jakiś automobil wciskający się par force między szereg powozów, gdy jakiś detektyw siedzący na koźle zawołał kilka słów do swoich kolegów w uniformie, poczem popolicyanci rozstąpili się zostawiając wolny dostęp automobilowi.

Z powozu wysiadł starszy jakiś, skromnie ubrany jegomość, w którym zaraz na pierwszy rzut oka można było poznać urzędnika.

Przybyły ujął za ramię pierwszego napotkanego służącego i wziąwszy go na bok zażądał natychmiastowego widzenia się z samym lordem.

Gdy lokaj oświadczył, że z panem jego w tej chwili mówić nie można, chyba co najwyżej z sekretarzami — odsunął starszy pan bez ceremonii lokaja i ku osłupieniu służby, nie troszcząc się więcej o nikogo wszedł na schody pałacowe.

Na I. piętrze, gdzie znajdowały się apartamenta pana domu zapukał i nie czekając prawie na zaproszenie „came in“ wszedł do pokoju.

Lord Melbourn kończył właśnie toaletę i popatrzył zdumionym wzrokiem na natrętnego przybysza, ale nie zdążył nawet zapytać o powód tych nieproszonych odwiedzin, nieznajomy bowiem mówił pewnym siebie tonem:

— Jestem inspektor Mc. Gordon ze Scotlad-Yard; Milord prosiłeś dzisiaj telefonicznie o policyjne strzeżenie domu swego podczas dzisiejszej uroczystości! W tej chwili dokonaliśmy ważnego odkrycia i proszę usilnie Waszą lordowską Mość o łaskawe natychmiastowe udanie się ze mną na główną kwaterę policyjną. Nie ma wcale czasu do objaśniań, każda chwila droga, gdyż rozchodzi się tu już nietylko o życie Waszej lordowskiej Mości, ale o życie dwojga jego dzieci!

Lord Melbourn słuchał zdumiony słów jego i wybuchnął wreście groźnym głosem:

— Ja nie mam dwojga dzieci! Ja mam tylko jedyną córkę Maud, której wesele właśnie dzisiaj ma się odbyć!

— Ja wiem milordzie, żeś pan wypędził swego syna z domu, sądzę jednak, że gdy się rozchodzi o życie młodzieńca — —

Inspektor nie dokończył słów swoich, gdyż drzwi otworzyły się gwałtownie i prywatny sekretarz lorda wszedł pospiesznie do pokoju i rzekł zmięszany:

— W tej chwili dzwonili ze Scotland-Yard i zapytuje, czy Mc. Gordon był tutaj i czy zabrał stąd Waszą lordowską Mość? Na moją odpowiedz, że lord rozmawia z jakimś nieznajomym panem — nakazano jak największy pośpiech.

Lord zgłupiał po prostu na te słowa i rzekł niespokojnie:

— Każ pan natychmiast zaprządz mój powóz!

— Wybacz milordzie! — pozwolił sobie urzędnik zauważyć — przed pałacem czeka mój automobil i proszę, ale proszę koniecznie o użycie go!

Nie mówiąc już nic więcej, ani nie troszcząc się o licznie zgromadzonych gości — udał się z urzędnikiem na dół i wsiadł do wskazanego pojazdu. Zdziwiło go jednak niepomiernie, że inspektor nie zajął miejsca obok niego, tylko krzyknął szoferowi gromkim głosem:

— Do Scotland Yard jak najprędzej!

Zanim lord miał czas zapytać o co — ciężki powóz ruszył pędem z przed pałacu.

Ku swojemu niepomiernemu zdziwieniu i zaniepokojeniu dowiedział się lord, że dyrektor policyi ani nie wzywał go do urzędu, ani nawet sam nie był w tej chwili obecny w swem biurze.

Nie ulegało wątpliwości, że lord padł tu ofiarą mistyfikacyi dla jakichś zbrodniczych celów.

Co czynić? Po krótkim namyśle wziął inny automobil, gdyż pierwszy, którym przyjechał — znikł gdzieś bez śladu, i kazał się wieść do Szerloka Holmesa.

Gdy wielki detektyw dowiedział się o celu odwiedzin wysokiego swego gościa, podskoczył, jakby bombą wyrzucony i polecił lordowi iść ze sobą.

Dopiero siedząc w automobilu znalazł lord czas, by zapytać wielkiego detektywa, co myśli

o tej całej tajemniczej a tak bardzo niepokojącej go aferze?

Szerlok Holmes wyraził przedewszystkiem powątpiewanie, czy uroczystość weselna dziś się odbędzie, gdyż jak mówił, do tego rodzaju obchodów niezbędną jest w pierwszej linii obecność panny młodej, której prawdopodobnie nie zastanie się już w domu.

Jakby powalony pięścią olbrzyma opadł lord bezwładnie na poduszki powozu.

— Milordzie! — rzekł na to detektyw. — Mamy tu do czynienia z niebezpiecznymi ze wszech miar drabami, tu trzeba rozwinąć odwagę i przytomność umysłu, a przedewszystkiem — proszę mnie zrozumieć — nie wolno głowy tracić! Według moich kombinacyi zbrodniarze, widząc, że ich listy z pogróżkami nie odnoszą pożądanego skutku, że lord nie dasz na sobie wymusić wyznaczonego przez nich wysokiego haraczu, uprowadzili pańską córkę, a aby plan swój lepiej i pewniej wykonać, wywabili pana z domu pod pozorem natychmiastowego jawienia się w policyi.

— Mister Holmes! — zawołał złamanym głosem zrozpaczony ojciec — czy sądzisz pan, że życiu córki mojej Maud nie zagraża żadne niebezpieczeństwo?

— Nie przypuszczam! — łotrzy ci grożą śmiercią, jak to zresztą w listach swoich dali temu wyraz, jestem przekonany jednak, że bezwarunkowo nie posuną się do żadnego krwawego czynu. Uprowadziwszy pańską córkę zażądają za nią poprostu ogromnego wykupu.

— A jednak jest to rzecz nie do uwierzenia — biadał stary lord. — W jaki sposób mogliby ci ludzie porwać dziewczynę w przytomności tylu gości, których dzisiaj w domu mamy?! Maud nie jest przecie dzieckiem, które można na ręku uprowadzić. Nie, nie! w porwanie mojej córki nie wierzę!...

Szerlok już nic nie odpowiedział, gdyż dojeżdżano do domu. Zanim powóz stanął całkowicie, wyskoczył lord i pobiegł na górę.

W westibulu spytał pierwszego napotkanego służącego:

— Czy moja córka udała się już do salonu?

Zagadnięty spojrzał głupkowato na mówiącego, jakby go nie zrozumiał. Szerlok Holmes zwrócił się teraz sam do zmięszanego lokaja:

— Kiedy i z kim opuściła wielmożna panienka dom?

— Przecież milord posłał natychmiast inspektora do panny ze swoim biletem i zażądał, by poszła z oddawcą. Tak się też stało i dotychczas panna nie wróciła jeszcze.

Lord nie mogąc już dłużej powątpiewać w porwanie córki — zwrócił załzawione swe oczy na wielkiego detektywa i zaklinał się że po królewsku go wynagrodzi, byleby mu tylko odzyskał córkę z rąk nieznanych bandytów.

Szerlok Holmes zabrał się natychmiast do przesłuchania pokojówki uprowadzonej młodej arystokratki.

Dziewczyna objaśniła go o zajściu następującemi słowy:

— Ubierałam w ślubną suknię panienkę, która oczekiwała przybycia swego narzeczonego, gdy podano jej bilet Jego lordowskiej Mości, poczem kazała sobie podać płaszczyk i kapelusz i wyszła z inspektorem.

— Czy nie słyszałaś, co mówili z sobą?

— Panienka nie mówiła zgoła nic z urzędnikiem!

— Czy wiesz to na pewno?

Gdy dziewczyna potwierdziła z całą stanowczością, że żadna wymiana słów nie miała miejsca — zapytał detektyw:

— Po za tem, nie masz mi nic więcej do powiedzenia? Czy żadna inna, choćby najdrobniejsza okoliczność nie zwróciła twej uwagi?

Gdy pokojówka zawahała się nieco rzekł Szerlok Holmes poważnie:

— Nie zechcesz przecie przyczynić się do tego, by tak potworna zbrodnia spełniona w domu twych państwa — pozostała niepomszczoną!... Nie prawdaż?!..

Wtedy dopiero opowiedziała dziewczyna, że zdawało się jej, jakoby młoda jej pani ukrywała pod płaszczykiem jakiś przedmiot.

Przy tem niespodzianem zeznaniu gwizdnął swoim zwyczajem Holmes cicho przez zęby, a następnie rozkazał pokojówce:

— Przeszukaj natychmiast całą garderobę panny i powiedz mi, czy nie brak czego? Także przybory toaletowe, skontroluj pilnie, czy wszystko jest, tak jak było na miejscu?!...

---

## ROZDZIAŁ III.

### Nowa zagadka.

Lord Melbourn kazał teraz zawezwać do siebie sekretarza swego, przekonano się jednak, że ślad po panu Domayer zaginął kompletnie, co dziwniejsza jednak literalnie nikt ze służby ani z domowników nie zauważył, by pan sekretarz opuszczał pałac, słowem nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pan Domayer znajduje się w obrębie domu, albo ma jakieś powody do ukrywania się lub też uległ przemocy trzecich osób.

Po połudnu spotkał stary lord w jednej ze sal Szerloka Holmesa.

— Odkryłeś pan jakie ślady bandytów? — zapytał.

— Na razie jest to niemożliwe milordzie! — odpowiedział z całym spokojem detektyw.

— Dla czego? Wszakżeż — — —

— Jest wykluczonem, by ślad ich znaleść można, a to z tej prostej przyczyny, że ani zbójców, ani zbójcy żadnego tu nie było!...

I gdy lord patrzał na niego szklanym, pozbawionym wyrazu wzrokiem, mówił Szerlok Holmes dalej podniesionym głosem:

— Córka pańska, lordzie Melbourn, nie została ani porwaną, ani uwiedzioną, a raczej zupełnie dobrowolnie oddaliła się. Miss Maud była poprzód jak najdokładniej pouczoną o całej niecnej komedyi, jaką odegrał dziś rzekomy inspektor z Waszą lordowską Mością! Oczekiwała ona tylko chwili, gdy pan dom opuścisz, by uciec ze swoim kochankiem!...

— To jest — — —

— Prawdą, milordzie! Prawdą, w którą wątpić nie można! Miss Maud, jak powiadam, była o wszystkiem uprzedzona i dobrowolnie opuściła dom rodzicielski!...

— I czem pan to udowodnisz mr. Holmes?

— Tem, że młoda panna, która w ostatni swój dziewiczy wieczór bywa z domu swych rodziców uprowadzoną, nie myśli z pewnością o tem, by zabrać ze sobą biżuterye, nawet te, których zazwyczaj nie nosiła, by je zapakować do podręcznej torebki razem z niektórymi przyborami toaletowymi, bez których rozpieszczona młoda panienka obeść się nie może, a potem ukrywa to wszystko i unosi z domu pod płaszczykiem podróżnym!... Tak postąpiła pańska córka i zdaje mi się, że nie jestem chyba bardzo dalekim prawdy stawiając dyagnozę, że uwiedzenie córki pańskiej nie ma nic wspólnego z otrzymanymi przez pana pogróżkami listownemi!... Więcej już bez porównania intryguje mnie i zastanawia tajemnicze zniknięcie pańskiego sekretarza, który jednak — mimo tego — przekonany jestem! — znajduje się jeszcze w tym domu!

Lord Melbourn westchnął ciężko, otarł kroplisty pot z czoła i zapytał matowym, bezdźwięcznym głosem:

— Więc jeżeli naprawdę zachodzi tu wypadek, że Domayer jest w pałacu, to co uczynisz pan — panie Holmes?

— Co? Będę go szukał i wynajdę! Poprzód czekam jednak możliwej odpowiedzi na moje depesze, których kilkadziesiąt rozesłałem po większych i mniejszych okolicznych stacyach, by zatrzymano w danym razie pana Domayera.

— Dla czegoż pan nie zawiadomił wszystkie dworca o ucieczce mojej córki? — zapytał lord.

— Z tej prostej przyczyny, że miss Maud uciekając z domu, jeżeli ogółem Londyn opuściła, co wogóle stwierdzonem jeszcze nie jest — to użyła z pewnością nie kolei, a automobilu!...

Z temi słowy zaleciwszy mu jeszcze spokój i zimną krew — oddalił się detektyw, a po chwili wyszedł także i lord ze swego pokoju.

Zaledwie zamknęły się drzwi za panem domu, aliści wielka szafa biblioteczna ustawiona tuż koło ściany zaczęła jakiś ruch zdradzać.

Jakby za sprawą duchów szafa odsunęła się od ściany i z za luki przez to powstałej wsunął się do pokoju wielki, barczysty człowiek.

Chwilę stał bez ruchu nadsłuchując z natężoną uwagą, potem przekonawszy się, że wszędzie jest cicho, wydobył pęk wytrychów z kieszeni i jednym z nich otworzył szufladę biurka, zaczem począł gorączkowo przeszukiwać jej zawartość.

Lord Melbourn poznałby w nim natychmiast sekretarza swego Domayera, a Szerlok Holmes znanego mu dobrze zbrodniarza Yorilla Fieldertowna.

— A więc ten wyżeł policyjny jest znowu na moim tropie! — rzekł cicho sam do siebie. — Niech się strzeże, bo sidła są dobrze założone i musiałby chyba z dyabłem trzymać, gdyby w nie nie wpadł tym razem! I z tym starym durniem, który umie tak dobrze strzedz swoich tajemnic, z tym idyotą Melbournem muszę raz koniec zrobić! Potrzeba na seryo rozpocząć sprawę z tymi darmozjadami spoczywającymi na workach złota, bo ina-

czej intratne źródełko moich dochodów mogłoby wyschnąć!...

Zbrodniarz musiał mieć szczególniej wydelikacony słuch, bo jeszcze nie odezwał się żaden szmer z zewnątrz, gdy on zwietrzył już niebezpieczeństwo. Fieldertown zamknął co tchu szufladę i znikł za szafą, którą troskliwie zasunął na dawne miejsce.

A był to czas najwyższy. W tej samej bowiem chwili wszedł do gabinetu lord i usiadł za biurkiem. Oparłszy skołataną swą głowę o dłoń przesiedział w ten sposób blisko godzinę w milczeniu i bezczynności.

Z zadumy zbudziło go lekkie puknięcie i niebawem stanął przed nim znakomity detektyw.

— Stwierdziłem niezbicie — rzekł do niepocieszonego ojca — że córka pańska nie opuszczała absolutnie Londynu i musi się w mieście znajdować. Jutro zajmę się jej szukaniem; na dzisiaj mam inne czynności. Proszę lordowską Mość o pozwolenie pożegnania go na dzisiaj i zalecam bardzo udanie się natychmiast na spoczynek. Ja nie opuszczam już dzisiaj pańskiego domu. Możesz pan spać bezpiecznie, Szerlok Holmes czuwa!...

---

## ROZDZIAŁ IV.

### W obliczu nieuchronnej śmierci.

Szerlok Holmes rozkazał udać się całej służbie do swych pokojów na spoczynek i nie troszczyć się o nic, choćby słyszeli w domu jakieś hałasy lub krzyki.

W pół godziny panowała w pałacu grobowa cisza.

— Ale, cóż to ma znaczyć? Czy duchy jakie pokutują w tym domu?

Z loży odźwiernego wysunęła się jakaś wysoka, chuda postać i przy skąpem świetle lampy palącej się na schodach podążyła na I piętro. Był to nikt inny, jak tylko Szerlok Holmes, który kolejno badał klamki i zamki w pałacu, chcąc się przekonać, czy są należycie zamknięte.

— Co za szkoda! — mruczał do siebie — że Harry jest gdzieindziej zatrudniony — mógł by mi tu świetne usługi oddać! Ale w ostatecznym razie muszę radzić sam sobie i za dwóch pracować i baczyć na wszystko!

Holmes wstępował na drugie piętro.

Co za różnica!

Na dole, aż do I piętra przepych i luksus, jaki trudno sobie wyobrazić — a tu starożytny, zatęchły, średniowieczny budynek!

Schody wąskie, w których nieraz po dwa i trzy stopnie brakuje, liczne małe korytarzyki i zakamarki.

Tu — na II piętrze znajdował się pokój sekretarza Domayera, o czem już Szerlok Holmes poprzód się upewnił.

Pokój ten z rozkazu jego został zamknięty, a klucz był w posiadaniu detektywa.

Niezadługo znajdował się w obszernym starożytnym pokoju, który obejrzał sobie dokładnie rozświeciwszy swoją kieszonkową latarkę elektryczną.

Tu obok okna stał wygodny, obszerny, wyścielany fotel. Znużony detektyw usiadł na nim, i — znalazł się w tej chwili w pułapce.

Obydwa oparcia boczne podniosły się i przytłoczyły go z całą siłą, gdy tylko opuścił się na siedzenie stołka.

Pomimo nadludzkich usiłowań było mu niepodobieństwem wysunąć się z żelaznych objęć złowrogiego mebla.

I podobnie, jak w pokoju lorda, jakby poruszona niewidzialną siłą odsunęła się biblioteka od ściany, tak i tutaj otwarła się nagle szafa na garderobę a z niej wyszedł na pokój Domayer.

— Patrzcie no! Mister Holmes! — zawołał z ironią mierząc nienawistnem spojrzeniem swego wroga. — Ładny mebelek! nieprawdaż mistrzu?! Gdym ten stary grat wyszperał na strychu i dowiedziałem się o jego cennych zaletach, wiedziałem, że może mi się przydać do spłatania komukolwiek niewinnego jakiego żarciku, nie przypuszczałem jednak nigdy, że w potrzask ten wleci taki rzadki jak pan ptaszek!... Nie usiłuj się pan uwolnić i wierz mojemu doświadczeniu, że bez obcej pomocy nie będziesz w stanie odlepić się od tego interesu!

Widząc jednak, że detektyw nie zważając na jego gadanie siłą stalowych swych muskułów gotów jest wydobyć się z uścisków fotela — przyskoczył prędko, zarzucił mu na twarz jakąś kapę, skrępował w mgnieniu oka jego ręce i nogi.

Następnie przycisnął wiadomy sobie tylko guzik z tyłu poręczy i ubezwładnionego detektywa rzucił na ziemię i powlókł na środek pokoju, poczem zdjął mu zarzuconą na twarz oponę.

— Tak! drogi mój przyjacielu — drwił z bezbronnego swego wroga leżącego jak kłoda na ziemi pomówmy sobie teraz trochę! — Mówmy coś! pamiętaj pan, że to ostatni raz masz już zaszczyt rozmawiania ze mną!

Szerlok Holmes nie stracił bynajmniej swej zimnej krwi i odwagi, których tyle razy złożył już świetne dowody.

Mierząc zbrodniarza pogardliwym wzrokiem mówił:

— Ja wiem Yorillu Fieldertown, czy jak cię tam zresztą czart nazwał – wiem, że chwilowo jestem w twojej mocy! Chciałem cię już dawno wydać w ręce sprawiedliwości i spodziewałem się, że dzisiaj wreszcie powiedzie mi się wykonanie mego planu!.. Przegrałem stawkę. Jesteś na razie wygranym! Jedno mnie pociesza, to jest pewność że nie możesz tego domu opuścić nie narażając się na niechybne ujęcie!...

Na ustach zbrodniarza pojawił się wyraz wściekłości.

— Patrzcie no, patrzcie! to pan kazałeś otoczyć dom ten! Well! Uważałem cię dotychczas za skończonego spryciarza i niebezpiecznego przeciwnika, ale teraz widzę, że w rzeczywistości jesteś durniem pierwszego stopnia, a ja drugim, że mogłem się ciebie obawiać!

Przy tych słowach poszedł do szafy i wydostał z niej rozmaite przedmioty.

Ku swojemu przestrachowi zauważył Szerlok Holmes, że łotr wyjął kilkunastofuntową pakę prochu i wysypał ją na ladę biurka, postawił w środku palącą się świecę i zaczął rozciągać w rozmaite strony lonty, przyczem mówił najspokojniejszym tonem:

— Widzicie, mój przyjacielu Szerlock Holmes! Mógłbym krócej zakończyć całą zabawkę i po prostu podpalić całą budę, ale mam jeszcze coś na dole do załatwienia, a przytem chcę wam urządzić szczególniejsze ukontentowanie! Zapalam tą świecę, dwie dobre godziny potrwa, zanim płomień dojdzie do prochu i wysadzi wszystko w powietrze. Macie zatem aż aż nadto czasu do oczekiwania pewnej śmierci! Co to będzie za wspaniałe wniebowzięcie! Pociesz się tem, że będziesz miał towarzysza tej napowietrznej podróży w osobie tego starego kutwy na dole, czcigodnego lorda Melbourn! Dobrej zabawy ty podły psie policyjny!...

Z temi słowami opuścił pokój.

Szerlok Holmes związany leżał bez ruchu na ziemi, na stole zaś paliła się pośrodku kupy prochu świeca, a każda sekunda zbliżała wielkiego detektywa do okropnej śmierci.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Niebezpieczne pogróżki.

Na słupach ogłoszeniowych Londynu pojawiły się sążniste plakaty tej treści:

*Sławetny Rząd Jego Majestatu Królewskiej Mości rozpisuje i zapłacić się zobowiązuje nagrodę*

***Dwustu funtów szterlingów***

*temu, lub tej, kto dowie się i poda do wiadomości władzy nazwisko autora listów z pogróżkami, które są stale wysyłane pod adresem najwybitniejszych obywateli stolicy, a mających na celu uzyskanie wysokich sum pieniężnych pod zagrożeniem śmierci.*

*Współwinnemu lub współwinnej, który pierwszy złoży pełne skruchy zeznanie — gwarantuje się w imieniu Jego Królewskiej Mości — zupełną bezkarność z wykluczeniem jednak wynagrodzenia.*

*Dan w Londynie r. 19...*

***Lordmayor Londynu.***

Treść plakatów przyjęła publiczność w rozmaity sposób. Jedni lojalni, porządni obywatele dawali głośno wyraz swojemu oburzeniu z powodu postępowania łotrów, inni śmiali się i dowcipkowali na temat „współwinnego lub współwinnej“, którym królewski rząd zapewniał wspaniałomyślnie zupełną bezkarność w zamian za złożenie „pełnego skruchy zeznania“.

Wszyscy jednak zwrócili dopiero teraz uwagę, że bandyci londyńscy chwycili się nowej sztuczki, celem „robienia pieniędzy!

— Na Boga! — zawołał jeden z młodych, eleganckich ludzi — nasza policya to doprawdy przemienia się niekiedy w krótkowzroczne krety! Opryszki gospodarują sobie na balach i zebraniach po najpierwszych domach, a panowie w Scotland-Yard nic o tem nie wiedzą, ani o ich złodziejstwach, ani o owych listach z pogróżkami! Mój kochany ojczulek otrzymał również podobną epistołę od nich!

— I mój zacny rodziciel został zaszczycony podobnem wezwaniem panów złodziei! — przerwał mu inny.

— W liście takim rozkazują mojemu, by w przeciągu 3 dni złożył w oznaczonem miejscu i godzinie okup, w przeciwnym razie grożą straszną, a haniebną śmiercią!

— A cóż uczynił wasz stary?

Zanim zapytany zdążył odpowiedzieć rzekł trzeci:

— Komiczne pytanie! Cóż mógł lord Melbourn zrobić innego jak pieniądze posłać na ręce panów bandytów?

— Tak pan myślisz? — zaśmiał się młody Melbourn — A więc pan sądzisz, że Melbournowie, do których mam zaszczyt należeć, są tchórzami?

Inny znowu wtrącił się w rozmowę:

— A więc lord Melbourn nie złożył żądanego okupu przez bandytów i żyje mimo tego? Well! Widzimy z tego dżentelmenowie, że wszystkie pogróżki tych drabów są tylko strachy na lachy!

Lord Paddington mówił dalej:

— Pański ojciec oddał pewnie listy policyi?

— No, sir — odrzekł zagadnięty — mój stary jest rozsądniejszy, niżby to się zdawać mogło! Zwrócił on się do Szerloka Holmesa!...

— I mimo tego nie wykryto zbrodniarzy? Szczególne! — zawołał trzeci —

— Widzisz pan z tego, mój kochany Mackanzie, że policya nasza nie jest znowu tak z gruntu zła i niedołężna, skoro nawet takiemu mistrzowi jak Holmes nie udało się wyszukać sprawców!

Nagle zajechał mały faetonik i stanął tuż przed grupą rozmawiająaej młodzieży, z powozu wysiadł młody jakiś „dandy", przystąpił do Melbourna i rzekł do niego bez żadnych wstępów.

— Perci! musisz natychmiast jechać do domu. Pański ojciec lord, został tej nocy zamordowany w łóżku, siostra twoja zniknęła w niewiadomy sposób z domu!

Słowa te piorunująco podziałały na młodzieńca, zbladł i zachwiał się i jak człowiek blizki upadku oparł się o ścianę, patrząc w milczeniu, z szeroko rozwartemi powiekami na posła hiobowej wieści.

Ale i publiczność otaczająca bliżej dwóch przyjaciół, współczuła głośno przez los dotkniętemu młodzianowi.

Lord Paddington zapytał po chwili:

— Więc to prawda, Gloncester?

Zapytany pomagał wsiąść do faetonu swojemu przyjacielowi, który dotknięty tak strasznym, a niespodziewanym ciosem, nie mógł jeszcze przyjść do siebie.

— Niestety! prawda to co mówiłem — odrzekł siadając obok Melbourna — ach! i ja noszę także żałobę w sercu po stracie...

— Na Boga! — zawołał ktoś ze znajomych — przecież nikt z rodziny twojej — —

— Wiecie — mówił zagadnięty — że znajdowałem się przed 5 laty w straszliwem niebezpieczeństwie nietylko życia, ale nieposzlakowanego honoru mojego — Jednemu człowiekowi zawdzięczam — —

— Przecież nie chcesz powiedzieć przez to, że Szerlok Holmes — —

— Został dzisiejszej nocy również zamordowany! — dokończył młody lord...

---

## ROZDZIAŁ VI.

### W dzielnicy zbrodniarzy.

Przez ulicę Highstreet, w osławionej dzielnicy Whitecheapel szedł szybko wysoki, silnie zbudowany mężczyzna. Może właśnie swoim zewnętrznym warunkom miał do zawdzięczenia, że nikt z podejrzanych owych indywiduów włóczących się w tych stronach — nie zaczepił go.

Z licznych szynkowni, mieszczących się w parterowych, obskórnych domkach dochodziły skrzeczenia harmonii i katarynek i ochrypłe śpiewy pijaków. Zapach alkoholu i wyziewy tytoniowe zatruwały po prostu powietrze.

— Nagle drzwi jednego z owych eleganckich lokalów otwarły się i na ulicę wyleciał jak z procy jakiś drab kompletnie zaniedbany i pijany.

Z ordynarnem przekleństwem podniósł się ciężko z ziemi, gdy przystąpił do niego właśnie ów atletycznej budowy mężczyzna i pomógł mu podźwignąć się z bruku.

— Nie mój przyjacielu! — zawołał z poufałą ironią cecgującą kolegów — wagabundów — O ile mi się zdaje to w tym barze nie życzą sobie waszego towarzystwa! Plućcie na nich! Jeszcze jest szynków dosyć w Londynie!

Zagadnięty spojrzał na niego zbójeckim wzrokiem, splunął i zaklął bełkocząc na pół wyraźnie:

— Skocz szatanowi w gardło!... Co was to obchodzi? Idźcie swoją drogą, a o mnie się nie troszczcie!

— Nie mam wcale tego zamiaru! — odpowiedział nieznajomy — chciałem was tylko na pocieszenie zaprosić gdzieś do innego szynku, gdzie ludzie są więcej uprzejmi.

Zdaje mi się, że nie zaszkodziłaby wam wcale jedna i druga szklanka „brandy".

Pijakowi rozśmiały się oczy.

— Acha! — zawołał — wy jesteście w naszej dzielnicy nieznajomy!

A czy macie pieniądze?

— Skoro kogoś zapraszam to z pewnością nie na jego rachunek ani na ryzyko wyrzucenia za drzwi za należną cechę. Bądźcie spokojni pieniędzy mam dosyć!

Więcej nie mógł Fieldertown mówić, gdyż pijak rzucił się nagle na niego i usiłował uderzeniem pięści powalić na ziemię przyszłego swego amfitriona, i byłoby mu się to z pewnością udało, gdyby przezorny bandyta nie był w w bok uskoczył. Wskutek rozmachu runął napastnik sam jak długi na ziemię. W tej chwili rzucił się Fliedertownna niego.

— Ocho! — zawołał — w ten sposób ja się nie bawię! Za to powinienem ci dać porządną nauczkę, ale nie mam czasu, a spieszę się bardzo, i przytem potrzebuję twojej pomocy! To ci jednak zapowiadam, być nie próbował po raz wtóry podobnych żartów!

Zwycięzca wypuścił z rąk wagabundę i potem rzekł tonem, jakby między nimi nigdy nic nie zaszło:

— No, a teraz chodźmy napić się sznapsa!

— Dokąd pójdziemy? — zapytał wagabuda.

— Do „Krwawego psa" — brzmiał odpowiedź.

— O! za skarby świata nie!... „Krwawy pies" nie darowałby mi nigdy, że do lokalu jego wprodzam nieznajomych!

— Prowadź mnie! Gdzie to jest? — zawołał Fieldertown i równocześnie wskazującym palcem prawej ręki, dotknął lewej swej powieki.

Włóczęga popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Jakto? — zawołał — jesteście naszym, a nie wiecie, gdzie jest „Krwawy pies"?

Fieldertown nachylił mu się do ucha i szepnął jakieś słowo.

Jak pies poskromiony batem swego pana, spokorniał nagle łotrzyk i rzekł ponurym głosem:

— Pójdźcie ze mną!... Nie jesteśmy już daleko!...

Za parę minut byli przed bramą knajpy, na której stary odrapany szyld miał istotnie wyobrażenie dużego psa.

— Oto tu! — rzekł przewodnik, obrócił się i chciał pójść w swoją stronę zrezygnowawszy nawet z obiecanej libacyi.

Pewny cios sztyletu trzymanego w ręku Fieldertowna powalił go oblanego krwią na ziemię.

Fieldertown odsunął go nogą nieco od siebie i mruknął:

— Ten chłopak zdaje się należał do bandy. Widział mnie teraz bez maski, więc musiał zginąć!...

* * *

Podczas, gdy przed knajpą rozgrywał się ten krwawy dramat — w tylnych ubikacyach knajpy siedziało wielu ludzi zajętych ożywioną rozmową.

Były to ostatnie szumowiny i wyrzutki społeczeństwa, jak zresztą dowodnie świadczył już o tem zewnętrzny ich wygląd.

Najwstrętniejszą jednak figurą — to był sam gospodarz, którego fizyognomia przypominała żywcem buldoga, licującą zupełnie z firmą obskurnej jego knajpy. Nos szeroki i spłaszczony, górna warga przecięta, z za której wyzierały duże żółte zęby i kudłaty, olbrzymi łeb — składały się na całość niekoniecznie ponętną.

Gospodarz usługiwał w tym pokoju sam, nie troszcząc się zresztą wcale co goście mówili.

Rozmowa była prowadzona przyciszonym głosem, ale uważny obserwator mógł był spostrzedz, że między uczestnikami zgromadzenia panuje dość wojowniczy nastrój.

Silny i wielki jakiś drab, na którego twarzy wszystkie namiętności i złe popędy były wypisane — miał właśnie głos.

— Niech mnie pierwej kat ze skóry obłupi, jeżeli będę nadal pracował z Zamaskowanym — mówił mowca, podnosząc mimowolnie ton w rozdrażnieniu — Już mam dosyć zaszczytu wyciągania dla niego kasztanów z ognia, za co łaskawie raczy ofiarować od czasu do czasu marny jakiś napiwek! Kto nie jest z was waryatem, powinien tak jak ja postąpić! Co ma z naszej pracy przy nim kto? Pomyślcie sobie tylko co za olbrzymie sumy rabowaliśmy nieraz — a kto połykał z tego lwią część? On, którego nikt z nas nie zna, który

traktuje nas jak psów i lada ochłapem chce się pozbyć!

— Tom Barker! Jesteś waryatem — rzekł któryś z obecnych — Czemże byliśmy przedtem, zanim poszliśmy pod jego rozkazy? Czem? Bandą zwyczajnych doliniarzy (złodziei kieszonkowych) klawiszutków (złodziei wytrychowych).

Zaledwie czasem odważył się który z nas na „korzenny handel“. (Gwałtowne włamanie i rabunek). A któż przedtem pożerał lwią część naszych zarobków? Paserzy! Teraz Maskowany podniosł nas do siebie, uszlachetnił i wyszkolił w pięknym naszym fachu.

— Mówisz tak, bo z pewnością szpiegujesz nas na rzecz Maskowanego i za jego pieniądze!

Z krzykiem bezgranicznej wściekłości chciał się przyjaciel „Maskowango“ — „Wisielcem“ zwany — rzucić na mówiącego.

Ale w tej chwili wszedł między nich gospodarz a trzymając pełną tacę flaszek piwa ryknął z wściekłością:

— Stulcie te złodziejskie pyski, szanowni panowie, a nie to grzmotnę wam na łeb te wszystkie butelki, a potem — mniejsza o to! — piwo możecie sobie z podłogi wychleptać!..

Mowa lubianego zresztą gospodarza — nie trafiła tym razem do serc gości.

— Zgłaszam wystąpienie z bandy! — zawołał uparty opozycyonista, który pierwszy podniósł zarzuty przeciw „Zamaskowanemu“.

— I ja też!

— I ja!

— My wszyscy! — rozległy się głosy w pokoju.

W tem posłyszano głęboki bas u wejścia:

— Kto chce wystąpić bez mego pozwolenia?!

Skutek tych słów był niemal magiczny. Wszyscy obecni powstali i patrzyli.

Przed bufetem stał wysoki, barczysty człowiek, którego twarz zasłonięta była czarną, aksamitną maską. Z rękoma na piersi założonymi człowiek w masce stał naprzeciw bandyty.

Zdawało się, że jakaś mistyczna siła spływa z tego człowieka na obecnych. Nikt nie zdobył się na odpowiedź.

Po chwili jednak wystąpił Tom Burker i kłaniając się z ironią Zamaskowanemu, mówił:

— Jeżeli Wasza Lordowska Mość pozwoli, to ja jestem tak śmiały, ja Tom Burker a czynię to dlatego, bo nie dam sobie rozkazywać przez zupełnie nieznanego mi człowieka!

Mówił te słowa prędko, gwałtownie i podsunął się prawie pod sam bok Człowieka w masce.

Wtedy zaszło coś niespodziewanego. Skrzyrzowane ręce Zamaskowanego podniosły się nagle. Prawa dłoń uczyniła szybki ruch ku szyi Burkera, zabłysła stal, a potem wysoka postać Burkera zachwiała się.

Malkontent upadł rzęrząc, a szeroka struga krwi trysnęła mu z szyi.

— To jest pierwszy! Kto jeszcze z was ma odwagę? — wydarł się stłumiony wściekłością głos z pod maski.

Grobowa cisza zapanowała w szynkowni. Wszyscy patrzyli osłupiałym wzrokiem na to, co zaszło.

— Usuniecie stąd trupa! — rozkazał Człowiek w masce — a potem bądźcie gotowi do roboty!... Lord Melbourn ma dzisiaj odebrać nasze odwiedziny!...

I nie troszcząc się więcej o ludzi, wyszedł z gospodarzem do przyległego gabinetu.

— A więc wiecie już! Ten pokój na górze przygotujcie na przyjęcie młodej damy, Muclas przebierze się za pastora, a ludzi moich musicie wysłać na oznaczone miejsce. Znajdą oni już drogę z kościoła. Na tajnych schodkach niech się zatrzymają i oczekują mnie tam. Robię was odpowiedzialnym za dokładne spełnienie moich rozkazów. Rozchodzi to się o bogaty połów. Czy owe listy wysłano?

Z temi słowy zwrócił się Zamaskowany do Krwawego Psa.

— Wszystko będzie co do joty spełnione — odpowiedział gospodarz — Listy zostały również wysłane, ale Jaśnie wielmożni adresaci nie kwapią się jakoś z przekazami pieniężnymi. Ten Melbourn dowiódł, że pogróżek się nie obawia! Nic mu się nie stało, a to zachęci i innych do oporu!

— Jutro nie będzie się on już opierał! — odpowiedział Zamaskowany. — Dajcie mi przewodnika, nie mogę się w tej mgle zoryentować, a potem popatrzcie, tuż przed waszym domem, tam leży pewien panicz, który chciał się więcej dowiedzieć, niż mu wolno było!

Nie powiedziawszy ani słowa więcej, opuścił Zamaskowany gospodę „Pod Krwawym psem“, wraz z przywołanym bandytą, który miał mu drogę wskazywać.

## ROZDZIAŁ V.

### Harry Taxon przy pracy.

O tym samym czasie, gdy Szerlok Holmes wpadł w zasadzkę zbrodniarza Fieldertowna i został przez niego unieszkodliwiony — Harry Taxon, wierny jego pomocnik starał się rozważać zadanie wskazane mu przez mistrza, i przyszedł w tym kierunku do pewnych ciekawych odkryć.

Niespełna rok temu osiedlił się w jednej najelegantszych ulic pewien dentysta i zajął całe piętro w jasnym w wielkim domu, na murze którego wywiesić kazał olbrzymi kolorowy szyld.

Mr. Dringsdaale zyskał w krótkim czasie rozgłos i rozliczną klientelę, składającą się przeważnie z pań najlepszych sfer towarzyskich, a to dzięki zręcznej i szumnej reklamie, tak że przyszłość i znaczne dochody miał zabezpieczone.

Panie zarówno młode jak i stare chwaliły jego zręczność i wprawę i przesadzały się w pochwałach dla przystojnego i pełnego galanteryi młodego lekarza.

Do jego nimbu nie mało przyczyniało się szalenie wygórowane ceny, które kazał sobie za konzultacye płacić.

Na tego szykownego, zręcznego przedsiębiorcę zwrócił swoją uwagę Harry Taxon, a to co się stopniowo o nim powywiadywał, utwierdziło go w podejrzeniu, że dentysta musi mieć jakiś związek z tajemniczemi włamaniami.

Harry był przekonany, że pacyentkom swoim zastosowywał lekarz — hipnozę. Stwierdził następnie, że dentysta miał zawsze przynajmniej po jednej pacyentce z tych domów, gdzie dokonywano kradzieży.

Uderzającem wydało mu się również, że śledzony wymykał się często w tajemniczy sposób z domu i odwiedzał zakazane zaułki przedmiejskie, jak również przyjmował odwiedziny bardzo problematycznych osobników.

Harry postanowił zatem czekać najbliższej sposobności, by mieszkanie jego przetrząsnąć.

Ta sposobność nadarzyła mu się, gdy pewnego popołudnia wyszedł dentysta z domu, a w krótki czas ulotnił się także i jego służący.

Zaznaczyć się jeszcze godzi, że na parterze tego samego domu była drogueria w połączeniu z apteką.

W laboratorium, znajdującem się od tyłu lokalu pracowało w ów dzień dwóch młodych laborantów. Robota jaką wykonywali była połączona z niebezpieczeństwem wybuchu i stosownie do przepisów ustawy powinna była być uskutecznioną gdzieś za miastami, daleko poza obrębem ludzkich siedzib.

— Byłaby ładna historya — gdyby tak teraz wszedł tu pryncypał — mówił pierwszy, tłukąc jakąś mieszaninę w moździerzu.

— Ten nie ośmieliłby się nawet słowa „światło“ wymówić odpowiedział drugi z uśmiechem — ale z tem wszystkiem nie ma znów nic w tem tak bardzo strasznego!

— No! dziękuję pięknie! Już jabym tu nie zapalił papierosa z pewnością!

Podczas, gdy dwaj laboranci rozmawiali tak ze sobą, Harry Taxon był zajęty swoją robotą na górze.

Przy pomocy wybornego wytrycha dostał się do pokoju dentysty i tym samym sposobem otworzył z zamku jego wielkie amerykańskie biórko.

Zajęty był właśnie przeglądaniem jakieś szuflady, sądząc, że znajdzie w jej zawartości dowody obciążające lekarza, gdy nagle posłyszał głos w drzwiach:

— No, cóż panie Taxon? Czy poszukiwania pańskie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem?

Jakby piorun w niego strzelił — odwrócił się Harry i zadrżał cały.

Pod drzwiami stał doktór Dringsdaal, dentysta.

— Well! mój mały! Jak widzę utkwiły ci słowa w gardle — drwił z niego właściciel mieszkania. — Czy ty smarkaczu myślisz, że ja nie zauważyłem twojego szpiegowania mnie, czy myślisz że nie wiem kto jesteś? Jesteś pomocnikiem Szerloka Holmesa! Wyciąg no ręce z kieszeni! — zawołał groźnie, gdy przerażony chłopak sięgnął mimowoli po rewolwer do kieszeni. — Dajno pokój strzelaninie i miej wzgląd na to, że chcę hałasu uniknąć! W innym razie wpakowałbym ci jako włamywaczowi natychmiast kulę w twoją głupią mózgownicę! Nie przypuściłeś nawet tej możliwości, że mogę wejść do domu tylnym wchodem? No, wcale nie przynosi to zaszczytu ani twojemu sprytowi, ani twojemu mistrzowi, który cię kształci na szpicla i szpiega! Ale to tak nie idzie!

Harry chciał w stosownym momencie wymknąć się przez drzwi, ale w tej chwili przyskoczył do niego doktór i brutalnem pchnięciem pięści powalił go na ziemię.

— Zaczekaj ty padalcu! To ty chcesz mi ucie-

kać? O! przeliczyłeś się trochę! Poczekaj, poradzimy sobie z tobą w inny sposób!

Lekarz ukląknął na piersiach chłopca, wziął sznur i zaczął ściskać nim gardło nieszczęśliwego.

Harry bronił się z całych sił, ale nie sprostał silnemu mężczyźnie.

Oczy jego wyszły z orbit, otwarły się usta, z których wystąpił język, twarz zrobiła się siną.

Jeszcze chwil kilka a duszący utraci życie...

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Z deszczu pod rynnę.

Godzina upłynęła od czasu ubezwładnianie Szerloka Holmesa.

Napróżno wysilał wielki detektyw wszystkie fizyczne i umysłowe władze, by w jakiś sposób się uwolnić lub znaleść radę w rozpaczliwem swojem położeniu. Wszystko daremnie! Nie było znikąd ratunku ani pomocy!...

Pęta miał w ten sposób założone, że mowy nie było o ich zerwaniu, do tego groziło mu uduszenie z powodu knebla w ustach.

Świeca wypalała się tymczasem stopniowo i płomień co raz to bardziej zbliżał się do prochu. Bezbronny, skrępowany człowiek mógł był z całą dokładnością obliczyć, kiedy nastąpi katastrofa.

Widząc, że nie ma żadnej rady dla niego, postanowił wielki detektyw oczekiwać z rezygnacyą swego końca.

Wtem zdało mu się, jakby posłyszał czyjeś głosy od strony tajnego przejścia, którem znikł Fieldertown.

Uważnie nadsłuchiwał owe szmery — i przekonał się, że słuch go nie zawiódł. Znowu próbował wydobyć się z więzów, ale bezskutecznie!

Ten łotr Fieldertown musiał, jak się zdaje, nauczyć się od Indyan sztuki pętania ludzi, gdyż im bardziej chciał Szerlok wysiłkiem zerwać lub rozluźnić przynajmniej więzy — tem silniej zaciskały się sznury, wrzynając się boleśnie w jego ciało.

Byli tam istotnie ludzie w korytarzu, a mianowicie wszyscy członkowie zbrodniczej bandy Fieldertowna, którym herszt kazał się zgromadzić tu przed drzwiami sekretarza Domayera.

Było ich wszystkiego ośmiu ludzi, i ta okoliczność doprowadzała ich do wściekłości, gdyż dotychczas „Maskowany“ używał do tego rodzaju zleceń dwóch lub najwyżej trzech zaufanych swych ludzi.

Potem jednak zrobił sobie śmiertelnego wroga w osobie „Krwawego psa“.

Fieldertown, wychodząc z oberży, objaśnił gospodarza, że tuż przed jego domem leży trup zamordowanego przez niego człowieka.

W podobnej sprawie nie było ostatecznie nic tak dalece osobliwego dla właściciela szynku, gdyż to zwierzę w ludzkiem ciele, które miało na swojem sumieniu tyle krwawych czynów — nie rozczulało się bynajmniej niczyją śmiercią.

Gdy jednak przy migotliwym blasku swej latarni przyjrzał się trupowi — wzdrygnął się ze zgrozy i oburzenia.

Stary, zamordowany drab był jego ojcem!

„Krwawy pies“ powlókł zwłoki do pokoju położonego z tyłu restauracyi.

Gdyby Fieldertown mógłby był słyszeć przekleństwa i odgrażania karczmarza, byłby zapewne poczynił kroki celem zabezpieczenia się przed nim.

Fieldertown nie czuł się bezpiecznym ani przed „Krwawym psem“, ani przed swoją bandą — i dlatego postanowił jednym zamachem pozbyć się ich wszystkich.

— Niech mnie dyabeł porwie, jeżeli dłużej będę tu siedział w tej ciasnej pułapce! — Czy Zamaskowany myśli, że ma z dziećmi do czynienia?

Ogólny pomruk świadczył, że cała kompania podziela jego oburzenie.

„Krwawy pies“ nic nie mówił, tylko działał Niebezpieczny ten człowiek odkrył w krótkim czasie urządzenie w ścianie, otwierające przejście wolne do pokoju.

Teraz, gdy spostrzegł, jakie było usposobienie tych ludzi — nacisnął korbę i — ściana rozsunęła się bez szelestu.

Zdziwieni tem zjawiskiem wtłoczyli się wszyscy tłumnie do pokoju.

Jedno spojrzenie rzucone na palącą się świecę i leżącego na podłodze skrępowanego człowieka — objaśniło mu wszystko.

— A więc to tak?! — mruknął do siebie, podszedł ku stolikowi i zgasił z największą ostrożnością świecę.

— Czy pojmujecie, co on nam tu chciał urządzić? — zapytał ponuro swoich towarzyszów.

— No! żeby to odgadnąć nie potrzeba szczególniejszego dowcipu! — odpowiedział mu ktoś.

— Zdaje się, że tutaj dokonał jakiegoś świetnego połowu i z łupem zemknął. Nas obstalował tu zaś w tym celu, by ułatwić nam wniebowzięcie. Co za poczciwy, bogobojny człowiek!!... Chciał z nami tak zrobić, jak ze wszystkimi robił, którzy mu stali na drodze! Tom Burker miał słuszność!...

— Roter! I ty masz słuszność! — odpowiedział Krwawy pies. — Miałem ja z nim także coś pomówić, ale to, co teraz odkryliśmy, to przechodzi już wszelką miarę i granice łajdactwa!... Ale teraz zobaczmy, kto tu leży!

Schylił się nad skrępowanym, ale zaledwie podniósł zasłonę z jego twarzy, cofnął się zdumiony i krzyknął:

— Szerlok Holmes! Jak pragnę szczęścia!...

Odjął mu z ust knebel i zapytał napół zduszonego:

— Hallo! panie Holmes! Co pan tu porabiasz? Czyżbym się mylił, że Zamaskowany nie dla nas, lecz dla pana przygotował ten fajerwerk?

I nie czekając na odpowiedz detektywa, rozkazał swoim towarzyszom:

— Podnieście go i umieśćcie w domu. Jest to połów, wobec którego opłaca nam się przebyty strach i niebezpieczeństwo!

— A co wy ze sobą zrobicie? — ośmielił się zapytać jeden z bandytów.

— Mam jeszcze tu coś do czynienia, ale zaraz przybędę za wami! Starajcie się wymknąć niepostrzeżenie. Mgła sprzyja wam po temu!...

Gdy bandyci wykonali jego rozkaz i napowrót zakneblowanego Holmesa wynieśli — skonstatował „Krwawy pies“, że drzwi są zamknięte, a następnie otworzył wytrychem biurko.

To, co tu znalazł — umocniło go w jego postanowieniu — „Zamaskowany musi umrzeć“! — zasyczał przez zęby.

Krwawy pies załatwiwszy się w pokoju sekretarza — pospieszył o piętro niżej do pokoju lorda.

Rzuciwszy okiem na podłogę — cofnął się z obrzydzeniem i przerażeniem.

Na podłodze leżał w kałuży krwi własnej stary lord Melbourne.

Teraz pojął „Krwawy pies“ całą potworność i przewrotność planów Fieldertowna.

Yoril Fieldertown, uwolniwszy się z transportowego wozu zbrodniarzy, wkradł się w charakterze sekretarza, pod zmienionem nazwiskiem Domayera, do domu lorda Melbourne. Ale pasyonowany, nałogowy zbrodniarz nie zadowolnił się jedną tą rolą.

Oprócz tego, że stanął jako tajemniczy „Zamaskowany“ na czele bandy opryszków, dobrał sobie do innych łotrowskich praktyk — również kutego łajdaka w osobie lekarza-dentysty i rzekomego australskiego miliardera mister Quaggeblosa, który, mając dla swej wielkiej klienteli przystęp do arystokratycznych domów Londynu — badał poprzód zręcznie teren przyszłych złodziejskich operacyi.

Dalszym „sposobem zarobkowania“ pomysłowego zbrodniarza były owe listy, wymuszające pod grozą śmierci wysokie sumy pieniężne od swych ofiar.

Dringsdaal, który początkowo był hersztem bandy, sądził, że ma Fieldertowna w swem ręku. Mylił się jednak grubo, jak ogółem wszyscy, którzy z tym przebiegłym człowiekiem mieli do czynienia.

Fieldertown przystąpił do „stowarzyszenia“ z tem silnem postanowieniem, że użyje tych ludzi do swoich celów, a potem pozbędzie się ich bez najmniejszych skrupułów.

Teraz jednak zdawało mu się, że dopiął tego co zamierzał.

Uwiedzenie córki lorda i ucieczka z nią miały być ostatnimi występami zbrodniarza na arenie Londynu.

Fieldertown polecił „Krwawemu psu“, aby najlepszy pokój w oberży zarezerwował na przyjęcie młodej damy, a jeden ze zbrodniarzy, który dawniej był duchownym, a potem odsiedziawszy kilka lat w kryminale zamieszkiwał stale Whitechapel — miał odegrać rolę księdza i udzielić mu ślubu z córką lorda.

I podczas, gdy w oberży odegraną być miaał ta wstrętna komedya z miss Maude — wylecieliby w powietrze towarzysze i pomocnicy Fieldertowna wraz ze znienawidzonym przez niego Szerlokiem Holmesem.

Krwawy pies pospieszył napowrót do pokoju sekretarza, zapalił złowrogą świecę, a następnie znikł, jak mógł najszybciej, z pałacu. — —

Straszliwy pożar zniszczył tej nocy całe górne piętro starożytnego domu Melbournów.

Służba, przerażona ogłuszającym hukiem, mogła zaledwie uratować swe życie.

Ale straż pożarna, która nadbiegła na miejsce katastrofy, zrobiła straszliwe odkrycie: W pokoju swoim został właściciel domu znaleziony w kałuży krwi własnej. Oględziny wykazały, że lord Melbourn padł ofiarą okrutnego mordu.

Gdy jednak przybyli detektywi i urzędnicy ze Scotland Yard i na miejscu pierwsze badanie przeprowadzili, dowiedzieli się od służby pałacowej, że Szerlok Holmes bawił owej nocy w domu lorda i padł bez najmniejszej wątpliwości ofiarą katastrofy.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Cudowne uratowanie.

Harry Taxon znajdował się w najwyższem niebezpieczeństwie.

Dentysta miał właśnie dodusić swoją ofiarę, gdy ozwała się nagle detonacya. Nastąpił trzask i huk, jakby ziemia miała się zapaść. Okna wraz z ramami wyleciały z brzękiem na ulicę. Sufit wraz z ciężkiemi gipsowemi ozdobami runął na podłogę; drzwi wyleciały z zawiasów, meble zostały potrzaskane, wszystko wraz z dwoma ludźmi znajdującymi się w pokoju — tworzyło chaos.

Przez wybite okna wpędził wiatr gęsty, dławiący dym.

Ale w atelier lekarskiem zapanowała cisza grobowa.

Harry Taxon, zarówno jak i Dringgsdaale musieli nie żyć, lub być silnie ogłuszeni, gdyż żaden z nich nie poruszył się nawet.

Nadjechała straż ogniowa, ale jakież straszne spustoszenie tu zastała!...

Z drogueryi nie został literalnie kamień na kamieniu, a strażacy wynieśli z pod gruzów dwa kompletnie zbezkształcone i na pół zwęglone trupy.

Byli to dwaj nieszczęśliwi droguerzyści, którzy padli ofiarą własnej nieostrożności.

Wkrótce natrafili dzielni strażacy na górze na zwłoki Harry Taxona i Dringsdaala.

Obydwaj zostali złożeni z zachowaniem wszelkich ostrożności na nosze i wozem odwieziono ich na stacyę ratunkową.

Ku wielkiemu zdziwieniu dozorcy, przybywszy na stacyę podniósł się z noszów dentysta, spojrzał dookoła siebie pewnym, przytomnym wzrokiem, i rzekł:

— Ach! tak! ja byłem nieprzytomny i wy zapakowaliście mnie na wóz, uważając za współżywego? Jak widzicie mogę się zupełnie dobrze ruszać, dla tego pozwólcie, że pójdę stąd i na miejscu katastrofy poszukam resztek zniszczonego mojego mienia!

Zanim zdumiony dozorca mógł się zdobyć na jakąś odpowiedź wstał i poszedł w swoją drogę, podczas gdy nosze z nieprzytomnym Taxonem przetransportowano ostrożnie do sali opatrunkowej.

Ale i dzielny chłopiec nie ucierpiał — widać — zbyt silnie w katastrofie, bo pod troskliwemi rękoma lekarzy przyszedł wkrótce do siebie, a pierwszem jego pytaniem było:

— Co się stało z doktorem?

Lekarze zaskoczeni zostali tem niespodzianem pytaniem z ust — jak sądzili — umierającego człowieka. Niedoszły nieboszczyk jednak, który czuł się najzupełniej zdrów i na siłach — nie czekał ich odpowiedzi, lecz zebrał się i poszedł na Scotland Yard.

Dzielny pomocnik detektywa nie wspomniał nikomu jednak ani słówkiem, że ocalenie swoje zawdzięcza tylko tej piekielnej katastrofie.

— Czy pan jesteś tylko pewny mr. Taxon — zapytał go inspektor — Zauważ pan, że doktór jest osobistością znaną i bardzo szanowaną w stolicy i dostalibyśmy się fatalnie, gdyby — —

Młody detektyw przerwał mu gwałtownie.

— Ależ panie inspektorze! — biegnę, że zaledwie mogę tchu złapać, by tylko przybyć tu jak najprędzej, a pan powątpiewasz w moje słowa!..

Ten człowiek jest autorem listów z pogróżkami i zarazem współdziałaczem tajemniczych włamywań.

Mam dowody na to!

Urzędnicy posłani na miejsce pożaru otrzymali polecenie szukania za dentystą. I rzeczywiście wpadł on im w ręce, ale też równie łatwo wymknął im się.

Dringsdaale wrócił rzeczywiście do swego domu, mógł jednak przecisnąć się przez tłumy nagromadzone na miejscu katastrofy.

Gdy wreście udało mu się utorować sobie przejście – został zaczepiony przez policmena.

— Mr. Dringsdaall, czy tak? — zapytał urzędnik, a po twierdzącej odpowiedzi dwóch towarzyszących mu cywilnych panów przystąpiło do niego.

— W imieniu Jego Królewskiej Mości aresztujemy pana z powodu usiłowanego morderstwa i innych ciężkich występków. Proszę się udać z nami.

Nie czekając dłużej aresztowany uderzył z całej siły pięścią w żołądek detektywa, a sam wbiegł co prędzej do kamienicy, chcąc drugiem wyjściem wydostać się na przeciwległą ulicę. Policmen zatoczył się na bok — i zdawało się, że ucieczka powiedzie się łotrowi.

Dringsdaal był już przy drugiej bramie, gdy nagle ściana osłabionego wybuchem budynku runęła przysypując go zupełnie gruzami.

Z niebezpieczeństwem życia wydobyli go strażacy i dentysta został po raz wtóry oddany w opiekę Towarzystwu ratunkowemu.

Na stacyi ratunkowej oświadczono Taxonowi, który się tam znalazł, że skaleczenia Dringsdaala są bardzo ciężkiej natury i pacyentowi pozostaje jeszcze bardzo niewiele chwil życia.

I tak było istotnie.

Dringsdaal czując sam zbliżającą się śmierć — wyznał wszystko.

Harry dowiedział się ku swojemu przerażeniu, w jakiem mister jego znajduje się niebezpieczeństwie.

To wystarczyło, by nieustraszonego młodzieńca natchnąć nową energią.

---

## ROZDZIAŁ X

## Ślub pod „Krwawym psem".

Prawie równocześnie, gdy lord Melbourn wrócił z policyi do domu i dowiedział się, że córka jego znikła z domu — zatrzymał się przed austeryą „Pod Krwawym psem" elegancki autumobil, z którego wyskoczył jakiś pan, a następnie pomógł wysiąść towarzyszącej mu zawoalowanej damie.

— Gdzież jesteśmy, gdzie podziewa się mr. Domayer! Co to wszystko ma za znaczenie?! — były pierwsze słowa, jakie wymówiła przestraszona młoda dziewczyna.

Towarzyszący jej mężczyzna, nie odpowiadając na jej pytania, pospieszył do drzwi domu i otwarł je kluczem, który miał przy sobie.

— Proszę, zechciej wstąpić miss Melbourn, tu jost niepodobieństwem odpowiedzieć na wszystkie pytania pani, już i tak zwróciliśmy uwagę na siebie!...

Z widocznym niepokojem weszła dziewczyna do sieni, a gdy brama zamknęła się za nią — miała uczucie, jakby jakaś ciężka zapora oddzieliła ją od reszty świata.

Na schodach przyjęła ją jakaś stara, ohydna baba, której niepewny chód i głos bełkoczący świadczył, że jest mocno pijana.

Stara otwarła przed nią drzwi pokoiku, który nadspodziewanie był bardzo czysty i schludny, i poprosiła młodą lady, by wstąpiła w te progi.

— Proszę mi natychmiast zawołać mr. Domayera! — chcę z nim mówić! — zawołała rozkazującym tonem panna Maud do kobiety, która podparłszy się w boki, szeroką, zapijaczoną swą twarz skrzywiła do wstrętnego uśmiechu.

— Tak? A więc mój gołąbeczku tak ci się spieszy do twego kochanka? Czy już nie możesz wytrzymać bez niego? Tak! tak! Ten Fielder — to jest chciałam powiedzieć Domayer ma dyabelskie szczęście do dziewcząt, chociaż co do mnie — —

Dalej nie mogła pijana baba już mówić, gdyż jakaś silna dłoń męska złapała ją za kark i wypchnęła za drzwi. Słychać było tylko jęk i głuchy odgłos spadającego po schodach ciała.

Fieldertown zamknął drzwi i zwrócił się z łagodzącemi słowami do drżącej panienki:

— Wybacz, kochana Maud, że nie mogłem tej wstrętnej baby usunąć pierwej. Jest to daleka moja krewna, jedyna kobieta, której każdą tajemnicę mogę powierzyć! Na nieszczęście przyszedł dzisaj na nią znowu przeklęty dzień. Ale gdy jest trzeźwa, nie ma na niej lepszej kobiety!

Pospieszywszy w objęcia oblubieńca zawołała Maud głosem łkaniem przerywanym.

— James! Do czegóżeś ty mnie nakłonił człowieku!? Dla czego zwabiłeś mnie do tej spelunki? Co zrobiłeś z tą starą kobietą?! Co ma znaczyć —

— Kochana Maud! Uwolnij mnie na razie od wszystkich pytań. Przekonasz się później, że wszystko, co zrobiłem było bezwarunkowo potrzebne!... Proszę cię! Pójdź teraz ze mną! Duchowny, któ-

rego z wielkim trudem skłoniłem do udzielenia nam tajemnego ślubu — czeka już na nas od dłuższego czasu!

Opanowując żywiołowy jakiś strach, który jej nie opuszczał od chwili ucieczki z rodzicielskiego domu — pospieszyła panna za swym przyszłym.

Szubrawiec poprowadził dziewczynę do drugiego pokoju, gdzie odbywały się przygotowania do ceremonii ślubnej.

Przy bocznej ścianie stał zaimprowizowany ołtarz z płonącemi świecami.

Oczom wchodzących przedstawił się oryginalny widok.

Na rogu ołtarza siedział duchowny w ornacie z butelką w ręce, z której właśnie w tej chwili silnie pociągał.

Gdy drzwi skrzypnęły, „kapłan“ ujrzał wchodzących, zeskoczył z ołtarza i schował szybko butelkę pod siebie, a spostrzegłszy wściekły wzrok Fieldertowna wstał i podszedł do narzeczonej chcąc wygłosić pełną namaszczenia mowę powitalną.

Ale teraz przyszło do katastrofy.

Miss Maud doświadczyła uczucia, jakby nagle z przed jej oczu zerwano gęstą nieprzejrzystą zasłonę.

Teraz zrozumiała jasno, jaki szalony, nierozważny krok popełniła!

Duchowny chciał ująć ją za rękę, ale Maud odtrąciła go z całej siły. Potem zwróciła się do Fieldertowna i rzekła rozkazująco:

— Chcę natychmiast wyjść stąd! Odprowadź mnie pan do domu mego ojca!

Fieldertown usiłował zasuggestyonować ją swym wzrokiem, ale dziewczyna unikała instynktownie jego spojrzenia, pobiegła do drzwi, otwarła je na oścież i zaczęła głośno wołać o pomoc.

Ale Fieldertown jednym skokiem znalazł się przy niej i zarzucił jej na głowę ścierkę, kapę zdartą z jakiegoś mebla, poczem prrzeniósł swą ofiarę na kanapę.

Maud zemdlała i nie była zdolną do najmniejszego oporu.

Fieldertown obejrzał się za swym towarzyszem, który znacząco mrugnął do niego, wskazując oczyma na omdlałą dziewczynę.

Szalona wściekłość ogarnęła go na widok pijaka. Skoczył do ołtarza, porwał za ciężki świecznik i z całej siły uderzył nim w głowę duchownego.

Bez żadnego jęku upadł śmiertelnie ugodzony na ziemię.

Maud, tymczasem przyszła do siebie — patrzyła przerażonemi oczyma na to, co się stało.

Z krzykiem oburzenia zerwała się z kanapy

Teraz wywiązała się dzika walka.

---

## ROZDZIAŁ XI.

### Zemsta „Krwawego psa“.

Sprzymierzeńcy „Krwawego psa“ uszli szczęśliwie z swoją ofiarą tajnym korytarzem. Szerloka rzucono na wóz, który w tej chwili ruszył.

Przybywszy do oberży, znaleźli złoczyńcy pod schodami starą babę, którą Fieldertown zrzucił z I piętra i od niej dowiedzieli się o wszystkiem, co zaszło.

Związanego i skneblowanego detektywa umieścili w komórce pod schodami — i poszli nie troszcząc się o nich więcej!

Szerlok Holmes usiłował zwrócić uwagę kobiety na siebie i na migi prosił ją o odjęcie mu z ust knebla.

Zapominając o własnych cierpieniach, spełnia stara samarytański czyn.

Szerlok Holmes zużytkował natychmiast możność mówienia, by uczynić staruszkę powolną jego celom.

— Czy chcecie zemścić się na tym łotrze, który was strącił ze schodów? — zapytał ostrożnie.

— W jaki sposób? — jęknęła baba. — Zaledwie mogę się ruszać, zdaje mi się, że mam wszystkie żebra połamane!

— Uwolnijcie mnie z moich więzów, a dam wam możność wybornej zemsty nad nim!

Po kilku daremnych usiłowaniach udało się wreszcie starowinie rozluźnić postronki — reszty dokonał już sam Szerlok Holmes.

Właśnie podniósł się z ziemi, gdy zaparte z zewnątrz drzwi komórki otwarły się znowu i bandyci w nich się ukazali.

Ale w tej chwili i Holmes wyciągnął swój rewolwer i trzymał lufę skierowaną przeciw opryszkom.

— Przekleństwo!.. patrzcie uwolnił się z więzów! Wie o nas, zna miejsce naszego zboru!.. Naprzód

na niego, bo inaczej będzie źle z nami — krzyczeli bandyci, zachęcając jeden drugiego.

Uzbrojeni nożami a częściowo i rewolwerami rzucili się wszyscy na niego. Szerlok Holmes widział, że to nie przelewki i wypalił ze swego rewolweru.

Ale strzał jego miał podwójny skutek. Bo nietylko bandyci od drzwi się cofnęli, ale detonacyę usłyszał również i Fieldertown, który porzucił swą ofiarę i pospieszył na dół.

Zrozumiał zaraz, że spełzł na niczem szatański plan jego wysadzenia w powietrze „Krwawego psa i jego adherentów.

Podczas, gdy Szerlok Holmes trzymał napastników w szachu swoim rewolwerem, wziął Fieldertown pannę Maud na ramiona i pospieszył z nią na podwórze.

Spojrzał przerażony. Brama wchodowa była zamknięta!

Namyślał się jeszcze, czyby pomimo strzelaniny nie próbować główną sienią ucieczki, gdy posłyszał głos gospodarza.

Cofnął się w tej chwili na podwórze i znalazł na szczęście swoje otwartą małą komórkę czy skład na drzewo.

Zaledwie tam wpadł i żywy swój ciężar na ziemię z rzucił, zaledwie miał czas zaryglować drzwi od wewnątrz, gdy usłyszał głosy w podworcu.

Ale przekonał się, że jego kryjówka została odkrytą. Do drzwi zaczęto się dobywać.

Zaświecił zapałkę i poświecił dokoła, ale w tej chwili cofnął się przerażony.

Tuż przed nim na słomie leżał stary wagabunda, którego przed kilkunastu godzinami podstępnie zamordował — był to ojciec „Krwawego psa“.

Fieldertown rzucił zapałkę i nie ośmielił się już drugiej zaświecić. Widok, który tu zastał, był dla niego strasznym.

Czekał na wypadki, jakie niebawem rozegrać się miały i słyszał wyraźnie, jak niedawni jego towarzysze i podwładni odgrażali mu się, miotali na jego głowę najstraszliwsze przekleństwa.

Tymczasem na podwórzu rozgrywała się inna scena.

Atakujący Szerloka Holmesa zbrodniarze, których strzał detektywa odsunął nieco od jego osoby, chcieli ponownie rzucić się na niego, by za każdą cenę pozbyć się groźnego, a tak znienawidzonego wroga, gdy drzwi się otworzyły od zewnątrz i na progu stanął „Krwawy pies“.

Z tej chwili skorzystał Szerlok Holmes. Odtrącił silnem a pewnem uderzeniem pięści gospodarza od progu — wyskoczył za drzwi i znikł na ulicy wśród mgły.

Zbrodniarze chcieli się rzucic nim, gdy posłyszeli skrzeczący jakiś głos kobiecy.

— Patrzcie ludzie! Tam na podwórzu wlecze „Zamaskowany“ swoją ofiarę! Teraz wiecie...

„Krwawy pies“ spostrzegł śmiertelnego swego wroga i zawołał swych kompanionów na podwórze.

Tymczasem Fieldertown siedział cichtuko razem z napół omdlałą Maud w drewnianej kryjówce. Zdziwiło go, że bandyci nie szturmują wcale do drzwi, które przecież z największą łatwością mogliby wywalić. Przeciwnie! Zdawało mu się, że gromadzono przed drzwiami rozmaite przedmioty.

— Czy ci szubrawcy chcą mnie może uwięzić w tej stajni? — zapytał sam siebie.

Po krótkim namyśle zaświecił zapałkę, żeby rozejrzeć się w tej ciemnej dziurze i przekonać się, czy niema stąd czasem drugiego wyjścia.

Wskutek okrzyku strachu, jaki wyrwał się z piersi porwanej dziewczyny — wstrząsnął się nagle i płonąca zapałka z rąk mi wypadła.

Uwaga jego skupiła się na miss Maud, która przyszedłszy do siebie z omdlenia — patrzyła z przerażeniem na leżącego obok trupa.

Jedna chwila wystarczyła, aby sprowadzić straszne nieszczęście. Słoma na której trup leżał, zajęła się od zapałki.

W jednej chwili barłóg umarłego stanął w płomieniach.

Fieldertown zdał sobie natychmiast sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, odsunął rygiel i starał się drzwi otworzyć, ale z przerażeniem przekonał się, że oblegający go zabarykadowali wyjście, tak, że o ucieczce tą drogą mowy być nie mogło.

Ale uczynił jeszcze jedno przerażające odkrycie. Komórka paliła się nietylko wewnątrz, ale i od zewnątrz był ogień podłożony. Straszliwy dym napełnił całą wązką przestrzeń.

„Krwawy Pies“ obmyślił straszną zemstę swojemu wrogowi.

— Ten dżentelman zamierzał spalić nas, lub zapomocą prochu wysłać w krótkiej drodze do niego. Za jego pamięć należy mu się od nas wdzięczność i rewanż — mówił gospodarz do swoich towarzyszy i wydał odnośne polecenia. Po wykonaniu piekielnego planu, sprawcy oddalili się co do jednego.

Przez jakiś czas nikt nie ukazał się na podwó-

rzu, potem dopiero przez dach komórki wydobyła się głowa, za nią ręce...

Był to Fieldertown, który nie troszcząc się los swej ofiary, przynaglony płomieniami wydrapał się po zrębach do góry i usiłował przez dach komórki ujść strasznej śmierci. W tej chwili przesadziło parkan podwórzowy dwóch ludzi.

— Prędko Harry! — wołał Holmes. — Do drzwi komory! usunąć barykady! Założyłbym się, że nietylko ten łotr, ale i nieszczęśliwa Maud Melbourne znajduje się w płomieniach!

Nie zważając na płomienie usunęli pospiesznie barykady i dotarli odważnie do środka palącej się budy — i pokazało się znowu, że szczęście zwykło sprzyjać odważnym i pełnym poświęcenia ludziom. Maud leżała tuż przy drzwiach z twarzą obróconą ku ziemi. Tej okoliczności zawdzięczała jedynie nieszczęśliwa dziewczyna, że się nie udusiła dymem, i w ostatniej chwili wyratowaną została ze szpon strasznej śmierci przez spalenie.

Detektywi wynieśli ją na świeże powietrze i złożyli omdlałą na ławce.

Tymczasem nadjechała i straż ogniowa, ale jej akcya ratunkowa ograniczyć się musiała jedynie do zlokalizowania pożaru.

Buda zawaliła się wkrótce, grzebiąc pod zarzewiem Yorilla Fieldertowna — ów bicz spokojnego Londynu.

Dopiero po kilkunastu dniach znaleziono tam wśród popiołu dwa zwęglone kościotrupy.

Tak się skończyła i ta przygoda Szerloka Holmesa i jego dzielnego wiernego pomocnika; taki miało epilog zbrodnicze życie Yorilla Fieldertowna, który niepokoił całą okolicę, nie czyniąc różnicy między chatą włościanina, a pałacem magnata.

Wielki detektyw nie był tym razem w możliwości powstrzymać strasznego nieszczęścia, pomimo tego uratowaniem miss Maud zasłużył sobie na rzetelną wdzięczność i uznanie.

KONIEC.

Najbliższy [Nr. 13] naszego Tygodnika zawiera między innymi sensacyjną powieść z przygód **Szerloka Holmesa** p. t.

**Rabuś dziewcząt z chińskiej dzielnicy.**

## FELJETON

# Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

### c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Szanowne Kolegi a cesarsko-królewskie sługi państwowe!

Minęła połowa gorącego suchego lata, to jest powinno być gorącem, ale nie było. Miejmy jednak nadzieję, że jesień będzie za to mokra i chłodna!

W zimie żyje się zapasami letnimi jak kapustą, kartoflami, a od czasu do czasu w niedzielę komfiturami, która każda uczciwa i szanująca cześć swoją żona musi przez lato usmarzyć. Oprócz tego żyje się także w zimie wspomnieniami lata.

Tegoroczna willigiatura przyniosła mi pewną niespodziankę, z której i ja i moja stara nieraz się śmiejemy, a ponieważ śmiech jest bardzo zdrowym ruchem — więc opowiem szanownym Kolegom ową hecę, żebyście się mogli śmiać i byli dlatego zdrowi!

Mój kuzyn. który na wsi siedzi, był naszym kochanym gospodarzem. My jednak zjechaliśmy o dwa dni wcześniej i całkiem niespodzianie spadli na kark krewniakom, a to z tego powodu, ponieważ kamienicę, w której mieszkaliśmy w Krakowie odnawiano od frontu, a to nie należało wcale do przyjemności.

— No! no! — zawołał mój kuzyn zobaczywszy nas tak nagle — przybywanie moje dzieci trochę za wcześnie. Izba nie jest jeszcze dla was przyrządzona. To była dawniej stajnia. Ale ja dałem ją pobielić i podłogi założyć. Jutro ma przyjść murarz i wybije okna na ogród. Na razie jest w niej całkiem ciemno, ale to nic! tę noc wytrzymacie!

— Racya! W nocy – tak, czy tak nikt nie widzi, a w ciemnej stancyi także się wyspać można! — rzekłem z humorem a i żona moja zgodziła się na to.

Wieczorem wnieśliśmy się do tej ciemnej nory i powiedziawszy sobie „dobranoc" — zasnęliśmy jak dwa bobaki.

Zrana budzę się. Oczywiście jest ciemno jak u murzyna w kieszeni.

— No! no! a która to godzina będzie! — pomyślałem sobie, a chcąc zaświecić zapałkę spostrzegam, że mój kuzyn zapomniał zostawić pudełko z zapałkami.

Moja stara zbudziła się także i pyta się która to może być godzina?

– Nie wiem! – rzeknę i opowiadam jej o moim pechu.

— Majtyka! – mówi na to stara – Czuję, żem się już zupełnie wyspała i możemy wstawać. Wyjrzyj no na pole czy już jasno!...

— Bardzo trafna myśl! — zawołałem — Zróbmy tak!

Kalkuluję, że nasze łóżka, o ile sobie przypominam stoją akurat naprzeciw drzwi, a więc idę macając rękami po ścianie ciągle w tym kierunku, aż do drugiej ściany, gdzie istotnie drzwi znachodzę!...

Biorę za klamkę i otwieram!

Ciemno jak w tabakierce schowanej w kieszeni marynarki, która leży w zamkniętym kuferku!

— Matka! — mówię — śpijmy jeszcze!... Nie zaczęło nawet świtać!

Zamykam drzwi — lezę napowrót do łóżka przykrywam się kołdrą po uszy — i śpię!...

W tem się budzę, bo moja stara znowu woła.

— Majtyka! — mówi — teraz jest już z pewnością dzień, jestem taka wyspana, jak jeszcze nigdy w życiu — zobacz no na pole!

Idę znowu do drzwi, otwieram — ciemno! Co u licha!

Czy dzisiaj dzień się nie zrobi?

— Matka! — mówię — jeszcze ciągle ciemno, nic nie widać, ale to nic absolutnie! Spijmy jeszcze trochę!

— Nie! — mówi moja stara – Co jest? To przecież istny grób ta dziura!

Znowu śpimy chwilę, aż wreście zrywa się baba jak wściekła.

— No! mnie się zdaje – krzyczy do mnie — że ty już wcale nie jesteś w stanie odróżnić dnia od nocy!... Podaj mi rękę i prowadź do tych przeklętych drzwi!

Zrobiłem jak kazała, bo ubodło mnie to bardzo jej mniemanie, że nie mogę rozróżnić dnia od nocy — i prowadzę niewiastę do drzwi.

– No! otwórz! — mówię jej z tryumfem —

Otwiera — i nagle z drugiego końca przeciwległego muru pada oślepiająca światłość dzienna, tak, że musieliśmy zasłonić oczy i rozumie się także niedobory naszego negliżu.

W drzwiach tych stoi mój kuzyn ze żoną i śmieją się z nas do rozpuku.

Moja stara kwiknęła jak żaba, gdy się na nią nogą nastąpi — i buchnęła do łóżka, a ja stałem jak słup soli patrząc ze zdumieniem na moich krewnych.

A kuzyn mówi:

– No wyspaliście się chyba po podróży należycie! Kawy zapewnie nie zechcecie już pić, ale obiad jest już gotów!... Zaraz przyjdą murarze i wybiją okna do waszego pokoju!

Teraz pojąłem!... Otóż ja otwierałem ciągle dzwi od szafy, nie wiedząc, że za nią są drzwi od pola!...

Taki sen zdarzyć się tylko może, gdy jest kompletnie ciemno, dla tego — Kochane Koledzy! — starajcie się zawsze o dobrą iluminacyę!...

Skończyłem!..

# ZE ŚWIATA.

## Publiczne stracenie w Paryżu.

W zeszłym tygodniu został w Paryżu na bulwarach Areys – stracony matkobójca nazwiskiem Duchamon.

Brukowe dzienniki zaręczały publiczności, że stracenie odbędzie się według wszelkich obwiązujących przepisów i nic nie zamąci wymiaru sprawiedliwości.

Skazaniec spodziewał się do ostatniej chwili ułaskawienia, a po odczytaniu zatwierdzenia wyroku — wyraził zdziwienie swoje, że ma syję oddać pod nóż gilotyny.

Ustawa karna przeplsuje, że morderca krewnych ma być na miejsce stracenia prowadzony z zasłoniętą czarnym welonem twarzą, w samej tylko koszuli i boso.

Postanowienia ustawy były w tym wypadku co do joty zachowane. O godzinie 4 min. 52 zrana spadła głowa zbrodniarza. Tylko kilka głosów oburzenia ozwało się z tłumu, gdy wóz ze zwłobami przejeżdżał.

Zgilotynowanie Duchemin'a było pierwszem od dziesięciu lat w Paryżu.

---

## Naparstek królowej Syamu.

Jak donoszą, większa ilość drogocennych klejnotów, będących w posiadaniu królowej syamskiej, zaginęła wraz z kasetką podczas transportu z Londynu do Bankoku. Jednakże strata owa królowę zbytnio nie wzruszyła. Łatwo to pojąć, jeśli się zważy, że skarbiec królowej syamskiej mieści w sobie najbogatszy w świecie zbiór kosztowności. Komnaty królowej są w całem tego słowa znaczeniu wyścielone kosztownościami, a w jej sypialni, u podnóża łoża, znajduje się na postumencie z alabastru i złota skarbczyk, mieszczący w sobie mnóstwo łańcuchów, kolczyków, naramienników, brosz i innych klejnotów. Dyamenty, rubiny, szmaragdy, któremi wysadzane są owe klejnoty, rzucają dokoła cudowne promienie.

W ostatnich latach skarbczyk ów wzbogacony został wieloma precyozami, które wysadzone są najcenniejszymi kamieniami, jakie na rynkach europejskich się ukazały.

Jednakże z pośród wszystkich klejnotów królowa ceniła najbardziej pewien naparstek, który kosztował drobnostkę — 400.000 franków.

Naparstek ów zrobiony jest ze złota, w kształcie na pół otwartego kwiatu lotosowego. Wysadzany on jest dyamentami i innymi drogimi kamieniami.

Z dyamentów i pereł na naparstku wyrysowaną jest data ślubu królowej.

# ALLOTRIA.

### Także objaśnienie.

A. — Nasz listonosz utyka coś na prawą nogę. Co mu się stać mogło?

B. — O! to cała historya!... Miał on dochodzenie karne i na rozprawie został uwolniony. Wtedy spadł mu kamień z serca akurat na prawą nogę. Od tego czasu kuleje.

### Instrukcya na polowaniu.

Leśniczy (przed polowaniem do gości zaproszonych): Pies jest psem, a nie zającem — czy szanowni panowie wiedzą o tem?

Wszzyscy. Wiemy, wiemy, panie leśniczy!

Leśniczy. Naganiacz jest człowiekiem a nie zającem? Czy to także wiadomo?

Wszyscy. Wiadomo, panie leśniczy!

Leśniczy. W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko objaśnić szanownych panów, jak wygląda — zając.

### Pospieszne konkury.

Kawaler. A więc pani daje mi rzeczywiście kosza?

Panna: Żałuję, ale nie mogę inaczej!

Kawaler. Co za szkoda!... A ja już kupiłem Bädekera na naszą ślubną podróż!

### Wspaniałomyślny.

Krawiec. Kiedy mogę się spodziewać zapłaty?

Student. Spodziewać się możesz pan zawsze!

### Odznaczenie.

Chłop (do syna). Ty! Józek! Jak długo musisz się uczyć, aż dostaniesz — okulary?

# OGŁOSZENIA.

TYGODNIK

## SITTING BULL

**Opowiadania z życia czerwonoskórych.**

Wychodzi co sobotę.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i trafikach.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką 2 K 50 h. — Cena poj. num. 20 h.

## Szerlok Holmes

### słynny ajent śledczy.

**Tytuły nadzwyczaj zajmujących powieści:**

Zbrodnia na Zamku Saavreda.
Śladami Houdiniego.
W królestwie Amora.
Grabież naszyjnika z pereł.
Córa Ewy.
Tajemnica Juiego Jitsu.
Zamek rozbójnikow pod Palermo.
Zbrodnia w Armii zbawienia.
Profesor Flaks, wielokrotny morderca.
Pościg w pustyni.

Cena każdej powieści w trójbarwnej okładce tylko

**30 hal.**

**Do nabycia we wszystkich księgarniach, trafikach i biurach dzien.**

Na żądanie wysyła wprost

**Księgarnia antykw. M. PROKESZA**

w Krakowie, ul. Szewska L. 17.

MAGAZYN GALANTERYJNY.



Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i Przyborów do podróży

ZDZISŁAW

**ZDANOWICZ**

KRAKÓW, ULICA SŁAWKOWSKA L. 3. HOTEL SASKI.

**S. SILBIGER**

W KRAKOWIE, UL. GRODZKA L. 7.

poleca po niskich cenach

**BIELIZNĘ MĘSKĄ,**

**PARASOLE, LASKI, RĘKAWICZKI**

ORAZ

**NAJWIĘKSZY WYBÓR KRAWATEK i KOŁNIERZYKÓW.**

NOWA SERYA LEKKICH POWIESCI.

**OGRÓDEK AFRODYTY**

TOM I.

**PREVOST: DZIEWUSZKI**

CENA 1 KORONA.

Nakładem Księgarni St. Kavki w Krakowie.

WSZĘDZIE DO NABYCIA.

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Józef Czopek. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.